BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W GDAŃSKU

Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

S. WALICKI — O przełom w hodowli
H. WORCELL — Stary Dobrowolski
FR. PUDŁOWSKI — W Essen
J. ADAMOWSKI — Towarzysz „Obcy"
W. LESZCZYŃSKI — „Myśl filozoficzna"
S. NĘDZA - KUBINIEC — Pieśń o Kostce Napierskim
ST. ORZEŁ — W Tarnobrzeskim
J. MARSZAŁEK — W ŁÓDZKIM
M. INGLOT — Pióro walczące
E. WOJNAROWSKI — „Okuty w powiciu"
A. W. — Klasyk literatury rumuńskiej
G. TIMOFIEJEW — Krytyka radziecka
CZ. SCHABOWSKI — Cud domniemany
W. JAŻDŻYŃSKI — Kto i co czyta?

Rok IX

Warszawa, dn. 24 II. 1952 r.

Nr. 8 (342)

HENRYK GAWORSKI

POWRÓT

Wrócił po paru latach
z walizą, której nie miał,
gdy od troski garbaty
opuszczał swoją ziemię.

Wtedy świeciło słońce,
skowronki chwaliły lipiec
i wiatr na polach wąsy
targał kłosom pszenicy.

Na miedzy pachniał powój,
plątał się pod stopami —
Ten dzień płowy, lipcowy
jak powój oplótł pamięć.

Życie we wsi, jak strumień
wąskie — w przesądów zielsku.
Poznał to i zrozumiał
w dniach harówki i tęsknot.

A przecież szukał traktu,
który prowadzi do wsi,
gdzie chleba nie zabraknie —
tak się pszenica kłosi.

Drogi powrotu szukał —
ścierał skórę na barkach.
Droga — długa nauka
prowadziła przez Partię.

Wrócił do wsi bogatszy
o świadomość biedniacką.
Na wieś — na życie patrzy
w ziemię, w niebo bez blasku.

Nieprzytomne i łyse
drzewa w śnieżnym bandażu,
mróz w oknach chałup szkli się,
dymy po dachach łażą.

Stoi człowiek na śniegu
i wie:
wieś już spółdzielcza
i dlatego, dlatego
piękniejsza i weselsza.

Między ścianami z drewna,
między grzybami stodół,
płonie czerwona cegła —
życia rumieniec młody.

Długie spółdzielcze stajnie,
dalej — pomowski warsztat.
Słuchaj, gwarzą kombajny,
a może traktor parska? —

Traktor? — Dzisiaj niedziela,
to głos harmonii słychać.
Po szerokich pól bieli
zatacza się muzyka.

Hu-ha — śpiewają chłopcy,
hu-ha — odrzuca echo.
Leci piosenka po wsi,
wzwyż się drapie po strzechach.

Dziewczęta zadyszane,
z oddechów — kłęby pary
jak mgła suną po ścianach,
wieś cała we mgle szarej.

Przeciera człowiek oczy:
przed nim drewno i słoma.
Dymu powróz ruchomy
wieś do ziemi przytroczył.

Spółdzielnia — śmiały zamiar,
sprawa do załatwienia.
Drogą, którą śnieg zawiał,
przyniesiono marzenia.

A no — zaczniemy rychło:
wiosenny siew za pasem.
Ludzie muszą przywyknąć —
do siewu trzeba by razem.

A jeśli się nie uda? —
Bogacz — ten radość miałby.
A no — zbliża się próba,
wnet weźmiemy się za łby.

Dźwignął człowiek walizkę,
postawił kołnierz palta.
Wioska jak nigdy bliska,
i jak wieś bliska walka.

Żegnajcie, towarzyszu —
dalszy ciąg tej ballady
wasze ręce napiszą.
Ułoży ją gromada.

NAUCZYCIELE ZE SPÓŁDZIELNI PRODUKCYJNYCH...

Zamieszczamy poniżej kilka wypowiedzi nauczycieli ze spółdzielni produkcyjnych o nowym tomie opowiadań St. Piętaka p.t. „Wspólna dolina" oraz odpowiedź autora.

Czytelnicy, krytycy i pisarze mają tu okazję spotkać się z tzw. „krytyką terenu". Celowo zamieszczony większy zbiór wypowiedzi ułatwi zainteresowanym ocenić walory i niebezpieczeństwa, płynące ze spontanicznej krytyki terenu.

Wypowiadający się najbardziej są wyczuleni na sprawy, które dotyczą ich zawodu, albo zadań, jakie podejmują, jako działacze społeczni. Dlatego w naszym „plebiscycie" sprawa spółdzielni produkcyjnej i nauczyciela wraca ustawicznie. I bardzo swoiście. Z autorem rozmawiają „gospodarze terenu" i dlatego bardziej prawują się o to, czego w opowiadaniach brak (u Piętaka spółdzielnia produkcyjna z r. 1949). Dla nich, którzy pracują w spółdzielniach od 2 — 3 lat potrzebny byłby do agitacji utwór, obrazujący rozwój i osiągnięcia kolektywów spółdzielczych.

Dlatego krytyk i pisarz łatwo dojrzą, jak „Wspólna dolina" stała się pierwszą z brzegu okazją dla nauczycieli - spółdzielców do wypowiedzenia uszczegółowionych postulatów pod adresem pisarzy: co chcieliby czytać w powieściach i opowiadaniach o spółdzielniach i dlaczego.

Redakcja otwiera dyskusję nad przedłożonym „plebiscytem terenowej krytyki" i — zapraszając chętnych — zastrzega sobie prawo podsumowania dyskusji i wyrażenia swego stanowiska.

REDAKCJA

BRONISŁAW STRZYŻEWSKI

RZECZYWISTOŚĆ DAJE WIĘKSZA PERSPEKTYWĘ

CZYTAJĄC „Wspólną dolinę" odniosłem wrażenie, jakby książce brakło tego, co można by nazwać **zachwycającą perspektywą** dla czytelnika, szczególnie dla chłopa, który jest najbardziej zainteresowany zagadnieniem spółdzielczości produkcyjnej. Wydaje się, że autor pragnął w całej sile przedstawić problem walki klasowej na wsi, ale za mało zwrócił uwagi na to, co jest pozytywnym osiągnięciem spółdzielni na obecnym etapie. Czytelnik wiejski, a szczególnie bardziej nieufny chłop, czytając tę książkę dozna pewnego przygnębienia. Bo choć nie twierdzę, że walka klasowa przedstawiona w książce nie posiada cech realnych, ale ukazana jest zbyt anarchicznie. Wygląda tak, jakby we wsi nie istniała żadna organizacja polityczna i społeczna.

A trudno uwierzyć, żeby jednostka, w osobie Władka i politycznie niewyrobionego księgowego Gierczaka, mogła przy nikłej pomocy jakiegoś mgliście określonego kolektywu kierować spółdzielnią i walką klasową na tak szeroko zakrojoną skalę. Brak tu czegoś — brak tej dynamicznej siły, którą nazywamy „zbiorowością". Wszędzie i zawsze, szczególnie na dzisiejszym etapie **aktyw wiejski, jako uosobienie zbiorowości** powinien i musi występować, jako przodująca siła, zdolna do kierowania gromadą.

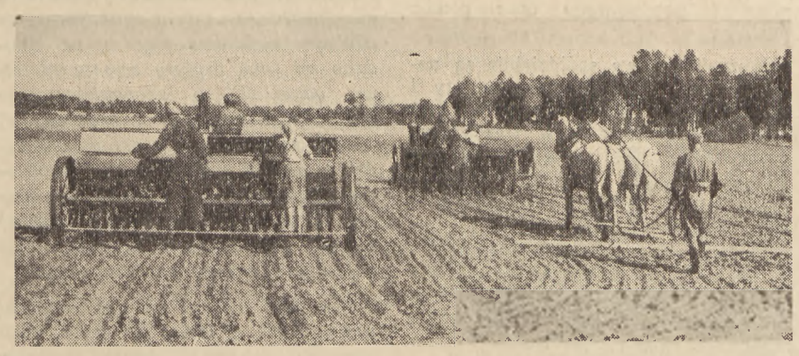

I właśnie dlatego należało z całą mocą podkreślić ofiarną i bezkompromisową działalność zbiorowości, w postaci organizacji partyjnej i organizacyj społecznych, a także uwypuklić pomoc i opiekę państwa ludowego.

Pokazuje książka ujemne strony spółdzielni jak: występowanie członków, trudności w rozbudowie i w samej pracy przy zbiorach.

I znowu pytanie — gdzie jest aktyw spółdzielni? — gdzie jest opieka państwa ludowego? — gdzie jest ZMP, szkoła itd?

Aktyw spółdzielni, organizacje polityczne, społeczne i POM stanowią w połączeniu siłę, która trzeźwo myślącego człowieka a w szczególności chłopa musi chwycić za serce i przekonać o słuszności rozwoju spółdzielni produkcyjnych.

Autor kończąc utwór wieńczy go wprawdzie powodzeniem, spółdzielnia przezwycięża trudności i staje na właściwej drodze rozwoju, ale jest to wszystko za mało, ponieważ dopiero pełny obraz, uwypuklający osiągnięcia już istniejących spółdzielni, przekona czytelnika wiejskiego, że rodzące się spółdzielnie są pełne żywotności i że żadna siła nie jest w stanie zahamować ich rozwoju.

Takie stanowisko wobec książki Piętaka uzasadnić chciałbym moim bezpośrednim udziałem w życiu spółdzielni produkcyjnej w Bągarcie, pow. Sztum, woj. gdańskie. Przybyłem do tej gromady w 1949 roku, gdzie objąłem stanowisko kierownika szkoły. Tam też wybrany zostałem na sekretarza koła partyjnego. Po analizie miejscowych warunków gospodarczych zaświtała mi myśl zorganizowania spółdzielni produkcyjnej. Szkołę powiązałem ściśle z nurtem życia wiejskiego, zespoliłem ją mocno z organizacjami politycznymi i społecznymi. Aktyw wiejski, który wyłonił się w czasie wielu rozmów uświadamiających zaczął kierować walką klasową w gromadzie. Szkoła w oparciu o silny aktyw polityczny wsi przystąpiła do urządzania atrakcyjnych imprez artystycznych, obracających się wokół zagadnienia spółdzielczości produkcyjnej. Już w grudniu tego samego roku zgłosiło chęć przystąpienia 12 osób. Ostatecznie do założenia spółdzielni przystąpiono w lutym 1950 r. W pięknie udekorowanym budynku gromadzkim nie zabrakło nikogo, nawet tych, którzy z niechęcią odnosili się do agitatorów spółdzielni. Statut spółdzielni podpisało 34 członków.

Początki były trudne, zebrania obfitowały w kłótnie i to często na podłożu klasowym, ale umiejętna praca koła partyjnego i ZSL-u, szkoły oraz ścisły kontakt z władzami partyjnymi, CRS-em, ZSCh i POM-em powoli, ale ze skutkiem przeobrażały naszych spółdzielców. Byli owszem i tacy członkowie, którzy pod wpływem podszeptów wroga chcieli wystąpić ze spółdzielni. Tłumaczyli zarządowi, że nie posiadają żadnych zapasów i w pierwszym roku będą skazani na głód. Ale przy pomocy aktywnego zarządu zdołaliśmy przełamać tę trudność. Zdobyliśmy środki zaradcze, jak zaliczki i zapomogi w zbożu i przetworach zbożowych. Wróg bił w istotne zagrożenie, kiedy więc usunęliśmy je, „uciekinierzy" stracili i w swoim własnym sumieniu powód do odejścia. Natomiast tych, co chcieli mącić i utrudniać pracę pozbawiliśmy szybko i zdecydowanie praw członkowstwa.

W grudniu tego samego roku przystąpiło do spółdzielni 3 nowych członków — biednych chłopów. Jakże inaczej wyglądało to przyjmowanie po roku! Już nie było kłótni o ilość wkładów, kandydaci podawali motywy świadomej decyzji, w której nie grała już tej roli strona materialna, jaka w początkowej fazie miała z punktu widzenia członków pierwszorzędne znaczenie (np. wkład do spółdzielni). Rok 1951 to rok poważnych i przekonywujących sukcesów gospodarki spółdzielczej. Jest światło elektryczne i radiowęzeł — wszędzie rozbrzmiewa wesoła muzyka z zainstalowanych głośników. Widać piękny budynek przedszkola i żłobka. W oborze 40 krów holenderskiej rasy i 8 czyściutkich cieląt. W stajni 20 koni — więcej nie potrzeba, są maszyny w POM-ie, one nam popracują lepiej i taniej. Obora jak i stajnia wyposażone w wodociąg z elektrycznym napędem. Nie na tym koniec naszej urbanistyki — jest jeszcze piekarnia, sklep spożywczy, zaopatrzony obficie w artykuły pierwszej potrzeby, a ekipy łączności miasta ze wsią bywają prawie co niedzielę. Zebrania zarządu i ogólne zebrania to prawdziwa kuźnia planowania, narad i kontroli, radzą wszyscy i zawsze w oparciu o kolektyw społeczny gromady.

Podając tych kilka luźnych faktów chcę przez to wskazać, jaką książkę pragnąłbym czytać o spółdzielni produkcyjnej. Wydaje mi się, że wyrażam w tym projekcie również pragnienia tych wszystkich chłopów, którzy się jeszcze ociągają i wahają. Bo co innego, kiedy oni jeszcze nie są przekonani i mają rożne wątpliwości, a co innego, kiedy biorą książkę o spółdzielniach. Właśnie, jako czytelnicy chcieliby być przekonani, mało — porwani. I dlatego będą zawsze rozczarowani książką, która ich pozostawi w niejasnościach, która ich nie chwyci. **Bronisław Strzyżewski**

STANISŁAW TALARCZYK

ŚRODOWISKO NIE POGŁĘBIONE

ŚRODOWISKO pierwszego opowiadania St. Piętaka zarysowuje się bardzo niewyraźnie, a przecież dzieje głównych bohaterów Wojtka i Marysi, aż się proszą o pogłębienie obrazu wsi. Skoro Wojtek doznaje ze strony kułaka Chojnackiego ustawicznych zniewag, dlaczego odbijają się one słabym echem w gromadzie? Dlaczego Kasper ratuje bezradnego Wojtka od ostatecznej zagłady, przybierając postać jakby dobroczyńcy, bo niesposób zorientować się w motywach jego pomocy, ani w jego pozycji w gromadzie.

We wsi wre walka klasowa, ale w tej walce, jako siła zorganizowana występuje tylko wróg, bo tzw. „nadzieleńcy" okazują się bojaźliwi, niezdolni do samodzielnej, zorganizowanej akcji. Wprawdzie Wojtek, Kasper Latawiec, Teofil Pyłka, Jan Strycharz i inni „nadzieleńcy" zbierają się na placu gromadzkim wieczorem i zwierzają ze swoich zmartwień, ale do walki nie są zdolni.

Jednym pocieszeniem dla nich jest głos Kaspra Latawca: „Jeszcze miesiąc, jeszcze dwa, a rząd zrobi z nimi porządek".

Czy moje zarzuty są słuszne? W części na pewno nie. Przecież Piętak opisuje w tym opowiadaniu rok 1945 (może 6-ty?). Ale w części je podtrzymuję. Bo, albo autor chciał przedstawić wieś, w której nie walka się rozgrywała, a pogrom biedniaków, ale wtedy należało ukazać wszystkie warunki, uzasadniające taką sytuację. Albo autor chciał ukazać to, co było typowe wówczas. A typowa była dynamika rewolucyjna o charakterze często wojennym. Walka toczyła się na śmierć i życie. Iluż padło chłopów partyjnych! A „nadzieleńcy" stanowili wówczas element najbardziej ożywiony. I nie tylko czekali na „rząd, który z kułakami zrobi porządek". Natomiast kułak Chojnacki walczy wyraźnie, oczywiście o ustrój obszarniczo - kapitalistyczny i bynajmniej nie maskuje swego wrogiego stosunku do emancypującej się biedoty.

Mówi do Wojtka: „Ty nie jesteś człowiekiem, dziad to nie człowiek. Świat jest dla takich, jak ja, zapamiętaj to sobie!" Wydaje mi się, że tej metody walki, tego stylu przemawiania kułacy unikają, bowiem prowadzi on do podniesienia świadomości biedoty wiejskiej na wyższy poziom, czego kułacy najbardziej się obawiają.

Nie ulega wątpliwości, że główny kierunek uderzenia bogaczy w walce klasowej na wsi był skierowany na zamazywanie walki klasowej, przy równoczesnym utrzymywaniu biedoty w zależności ekonomicznej.

Wysiłek kułaków szedł w kierunku zbudowania frontu wsi przeciwko władzy ludowej. Wykorzystywali oni dlatego tradycyjną nieufność wsi do kapitalistycznego miasta, podstawiając pod ten obraz rewolucyjną klasę robotniczą. Bardziej realistycznie jest przedstawiona postać kułaka w opowiadaniu „Dobroć kułaka". Dul jest człowiekiem chytrym i dwulicowym wobec swego parobka Henryka. Dul zdaje sobie sprawę na swój sposób z tego, że wyzyskiwana młodzież ma swoją klasową organizację, że jest ona czynnikiem przyspieszającym rewolucyjne przemiany na wsi.

Dul tak formułuje kułacką taktykę walki: „W każdym razie trza mu obecnie pochlebiać, trza nie jak dawniej". Walka ta doprowadziła do pełnego wyzwolenia Henryka, ponieważ w obronie wyzyskiwanego stanęła organizacja ZMP-owska oraz władza ludowa.

Ostatnie opowiadanie „Wspólna dolina" odznacza się większym ożywieniem akcji i bogatszą problematyką. Walka klasowa przejawia się tutaj w bardziej różnorodnych formach. Ale problematyka samej spółdzielni jest potraktowana zbyt skąpo. Mózgiem całej spółdzielni jest Władek, który ugina się pod ciężarem różnych trudności i działa w samotności. Pozostali członkowie są raczej bierni.

Akcja urywa się nagle w okolicznościach mało ważnych dla głównego wątku opowiadania. Wydaje mi się, że należało zakończyć opowiadanie jakimś większym zwycięstwem spółdzielców, pokazać przez to radośniejsze perspektywy.

Foto WAF

Stanisław Talarczyk

ALOJZY KOMOROWSKI

Przegląd opowiadań

POSZCZEGÓLNE opowiadania St. Piętaka wiążą się w całość na zasadzie jedności problemu. Jest nim sprawa drogi chłopstwa do spółdzielczości produkcyjnej. A więc temat, który przewija się bardzo często na łamach prasy codziennej a nawet i literackiej, temat przepracowany już nieraz w formie reportażowej i powieściowej.

W pierwszym opowiadaniu widzimy wieś w okresie bezpośrednio powojennym, tuż po nadaniu bezrolnym i małorolnym chłopom obszarniczej ziemi. Państwo ludowe, wyniszczone działaniami wojennymi i eksploatatorską polityką gospodarczą hitlerowskiego najeźdźcy, zmagające się ciężko z rodzimą reakcją i subsydiowanymi przez monopolistyczny kapitał bandami podziemnymi, nie mogło w toku rewolucji zapewnić od razu pełnych warunków rozwoju nowopowstałym gospodarstwom chłopskim. Tę właśnie sytuację wykorzystywał kułak. Eksploatowany przez niego lata całe parobek nabrał właśnie oddechu i osiadł na własnej ziemi. Nareszcie wolny człowiek, gospodarujący z trudem, musi prowadzić ciężką walkę z silnym ekonomicznie kułakiem. Oto — tło polityczne pierwszego opowiadania. Pomijam treść, która jest dla pierwszych lat po wojnie typowa i zręcznie przez autora przedstawiona.

Ciekawe także i typowe jest drugie opowiadanie, które — rzecby można — przedstawia dialektyczną jedność przeciwieństw w ramach indywidualnego, drobnokapitalistycznego gospodarstwa chłopskiego.

Niekończące się spory o każdą morgę ziemi — często piaszczystej i nieurodzajnej. Wreszcie problem starości i działów rodzinnych. Zniedołężniały już i spracowany chłop, często nawet średniorolny spędza lata starości w stajni lub oborze — przymierając głodem. Głód ziemi, ciągła niepewność jutra, widmo proletaryzacji, wzrastająca zależność od elementów kułackich, banków i Izb Rolniczych— oto sytuacja chłopa okresu międzywojennego. Trudno w takich warunkach mówić o szczęśliwej i spokojnej starości, kiedy syn wyrzucał ojca z domu, aby się pozbyć „darmozjada". W tym opowiadaniu pokazał autor swoje bystre i wnikliwe oko. Ten kilkunastostronicowy obrazek ma wielką wymowę, ponieważ przypomina o nędzy życia chłopskiego w warunkach kapitalizmu.

Z innych opowiadań rozbudował autor bardziej „Dobroć bogacza" i „Wspólną dolinę". Pierwsze z nich ukazuje typowe metody walki stosowane przez kułaka. Oto wielomorgowiec Dula ogłupia psalmami swego parobka Henryka, drży na myśl, że wyzyskiwany mógłby się dowiedzieć prawdy z gazet. A jednak bardziej uświadomiona młodzież wyrywa parobka ze szponów bogacza. Problem istotny, przedstawiony barwnie i żywo — jednak w sposób niepełny. Nie wszyscy jeszcze członkowie ZMP, zwłaszcza na wsi — są ideologicznie dojrzali. Jakże często popełniają grube nieraz pomyłki polityczne. Należało jednak pokazać jak organizacja młodzieżowa rosła i przezwyciężała braki w pracy.

Pisarz w kapitalny sposób pokazał przekupstwo, które jeszcze się przytrafia, dzięki przemycaniu się do aparatu władzy terenowej elementów wrogich naszemu państwu ludowemu. Przykładem tego — sekretarz powiatowego sądu Walicki. Kułak, dzięki dającym się przekupić urzędnikom typu Walickiego, przepisuje swoją ziemię na córki, braci i innych krewniaków, by uzyskać obniżkę podatkową i wprowadzić w błąd władze ludowej Polski.

Podnosząc fakt, iż Stanisław Piętak plastycznie i przekonywająco przedstawił machinacje wroga klasowego, tym ostrzej należy podkreślić brak pełniejszego opisu rozwoju i działania przedstawicieli obozu postępu.

Ostatnie opowiadanie, którego tytuł nosi całość, jest jakby jej ukoronowaniem. Przedstawia proces powstawania nowej, socjalistycznej wsi spółdzielczej. Dzięki szeptanej propagandzie kułackiej następują wypadki wypisywania się członków z kolektywu. Poważny zarzut, jaki pod adresem autora chcę rzucić, to sprawa nowego nauczyciela na wsi, którego St. Piętak nie dostrzegł. W samym powiecie śremskim, gdzie pracowałem, istnieje około 25 wsi spółdzielczych, powstałych w dużej mierze dzięki ofiarnej pracy nauczycielskiej.

Mimo pewnych braków opowiadanie jest w zasadzie przekonywające.

Alojzy Komorowski

Nauczyciele ze spółdzielni produkcyjnych...

WŁADYSŁAW ALFAWICKI

JEST O CZYM MARZYĆ...

KSIĄŻKĘ p. t. „Wspólna dolina" przeczytałem z dużym zainteresowaniem i uważam, że mimo braków jakie posiada, wnosi wkład w dzieło popularyzacji spółdzielni produkcyjnych. Jasno zostały przedstawione dwie „dusze" chłopa (robotnika i posiadacza średniaka) oraz walka toczona o przyciągnięcie go przez biedniaka, który tworzy awangardę, walczącą o całkowite zniesienie wyzysku na wsi przez założenie spółdzielni produkcyjnej. Podobne przykłady prawie każdy z nas czytelników widział na własne oczy (np.: walka ZMP o odizolowanie parobków od wyzysku kułaka, szeptana propaganda, napady bandyckie itp). W książce można również znaleźć wiele momentów podnoszących świadomość czytelnika (czujność klasowa, niebezpieczeństwo „przegięć" przy agitacji za wstępowaniem do spółdzielni, rola partii w czuwaniu nad praworządnością ludową itp).

Ale obok stron dodatnich chciałbym zwrócić uwagę na pewne braki.

Wydaje się, że autor zbyt przecenił rolę jednostki w dziele uspółdzielczenia wsi. Nie pokazał pracy uświadamiającej, jaką niewątpliwie prowadzono. Nie podkreślił wielkiej, bezpośredniej i pośredniej roli partii w kształtowaniu się świadomości biednego chłopstwa (z wyjątkiem opowiadania „Wspólna dolina").

Niedocenienie roli szkoły i nauczyciela w akcji uświadamiającej i walce o uspółdzielczenie wsi wydaje mi się też dziwne. Szkoła może odegrać tu niecodzienną rolę. Przecież polityka personalna władz szkolnych nastawiona jest na obsadzanie szkół we wsiach spółdzielczych najlepszym aktywem nauczycielskim. Nie jest też tajemnicą, że bez nauczyciela prawie nic się we wsi nie dzieje. Na ten temat jest mi o tyle łatwo mówić, gdyż sam, jako nauczyciel, byłem skierowany przez partię z miasta do tworzącej się spółdzielni produkcyjnej i brałem aktywny udział w jej tworzeniu i rozwoju. Była to pierwsza spółdzielnia produkcyjna w powiecie kluczborskim (wieś Miechowa), założona w 1948 roku. Dziś ma duże osiągnięcia mimo podobnych trudności, jakie zostały przedstawione przez autora w jego książce.

Szkoda również, że autor po powstaniu spółdzielni produkcyjnej nie przedstawił jej rozwoju z pewnym wybiegnięciem naprzód, pokazując korzyści stąd płynące dla chłopa polskiego. Marzenia te częściowo zostały już urzeczywistnione w dobrze pracujących spółdzielniach. Tak np. we wspomnianej Miechowej — dawnej wsi zapadłej, powstał już wzorowy żłobek sezonowy, świetlica dla młodzieży szkolnej, przedszkole, nowa szkoła. Wieś została zradiofonizowana a drogę biegnącą przez środek wsi oświetla światło elektryczne. Członkowie spółdzielni produkcyjnej w ramach czynu 1-Majowego odbudowali swemu koledze walący się dom (wartość pracy w tysiącach), wielu z byłych parobków założyło rodziny i bierze udział we władzach spółdzielni. Prawie z reguły ci najbiedniejsi z okresu przed stworzeniem spółdzielni dziś są najlepiej sytuowani we wsi, gdy wynagrodzenie obliczone jest według pracy.

Spółdzielnia założyła kilkunasto - hektarowy sad, a młodzież ma pierwszeństwo do szkół różnego typu. Na polach warczą dniem i nocą traktory, kierowane ręką byłego parobka i byłego analfabety, podczas gdy obok chłop indywidualny chyli się jeszcze nad pługiem jednoskibowym.

Są wszak spółdzielnie produkcyjne, w których dniówka obrachunkowa sięga 30—40 złotych a czasem i więcej.

Nie są to już zatem marzenia dla tych, którzy docenili spółdzielnię produkcyjną, będą one jednak stanowić treść marzeń tych, którzy pracują jeszcze indywidualnie. Bo chłop nasz lubi marzyć, marzył wszak o wolności w okresie feudalizmu, o ziemi w kapitalizmie, obecnie marzy o dorównaniu w życiu materialnym i kulturalnym miastu, nowemu miastu, robotniczemu z pracy, kultury i władzy.

Władysław Alfawicki

STANISŁAW GRABOWSKI

MŁODZIEŻOWIEC!

GMINA Iwierzyce w powiecie dębickim „posiadała" w latach okupacji dwa majątki obszarnicze. W jednym z nich miałem nieszczęście pracować, jako robotnik. Jeden dzień pracy w poniżających godność ludzką warunkach starczał, aby nastawić wrogo do obszarników. Tak było ze mną, 15-letnim wyrostkiem.

W chwili, gdy tylko wróg hitlerowski został wypędzony z terenów województwa rzeszowskiego, chłopi — pod kierownictwem PPR zaczęli dzielić obszarniczą ziemię między byłą służbę dworską, biedotę wiejską i rodziny poległych w walkach z granatową policją w pamiętnych latach 1933 — 1934.

Ob. Kocon Aniela z Wiercun, której mąż padł od kuli granatowca otrzymała 2 ha ziemi, ale jej nie chciała użytkować, gdyż zastraszył ją wróg klasowy mającym rychło nastąpić powrotem obszarnika. Wydzierżawiła więc jeden kawałek, a drugi jako tako uprawiała. Wytężona praca uświadamiająca aktywistów PPR, zdemaskowanie propagandy wroga spowodowały jednak, że w niedługim czasie rozpoczęła pracę na otrzymanej ziemi.

Stanisław Piętak nie pokazał w „Pierwszych starciach" roli naszej partii, jako hegemona przemian gospodarczych i politycznych na naszej wsi.

A teraz przykład drugi. W roku 1951 postanowiono u nas założyć spółdzielnię produkcyjną w pamiętnej z walk z sanacją wsi Nockowej. Pełniłem wówczas obowiązki kierownika szkoły w tej wsi i muszę stwierdzić, że dużą pomoc w uświadamianiu ludzi nieśli ofiarni aktywiści partyjni z gminy, powiatu a nawet i województwa, niosło ją i miejscowe nauczycielstwo. Tego wszystkiego w książce St. Piętaka nie widać.

Z drugiej strony można oczywiście twierdzić, że pomoc taka była nieraz niewłaściwa. I chociaż odpowiednich na to przykładów nie brak, to jednak odchyleń od normy w pracy partyjnej nie można uznawać za zjawisko typowe. I dlatego źle się stało, że autor pokazał akurat źle pracujące gminne i powiatowe ogniwa partyjne i źle pracującego nauczyciela. Nie żądam, aby autor nagromadził same pozytywy, ale niechżeby przynajmniej nasz gminny aktyw i powiatowy popełniając błędy, nawet drastyczne, równocześnie hartował się i dojrzewał.

Autor „Wspólnej doliny" w pięknym natomiast świetle przedstawił młodzież, a raczej niewielką jej część — mam tu na myśli Władka, którego stosunek do Polski Ludowej i spółdzielczości produkcyjnej jest naprawdę wart podziwu. Jeżeli chodzi o moją gminę, to na punkcie młodzieży zorganizowanej jestem raczej rozczarowany. Praca społeczno - polityczna wciąż jeszcze w naszym ZMP kuleje. Nie znaczy to bynajmniej, ażeby młodzież nie pomagała nam w takich czy innych akcjach. Nie widać jednak u niej tego rewolucyjnego zapału, jaki daje głęboka dojrzałość ideologiczna. Jeżeli więc w nierzadko jeszcze trudnej sytuacji na odcinku młodzieżowym na wsi — czytamy o Władku — to moim zdaniem bardzo jej książka ta może pomóc. Młodzieżowiec Stanisława Piętaka jest mobilizującym przykładem bohaterstwa w pracy nad socjalistyczną przebudową wsi. Szkoda tylko, że po za Władkiem — pustka, nikogo więcej. Przy pokazaniu szerszego aktywu młodzieżowego wartość wychowawcza książki jeszcze by wzrosła.

I jeszcze jedna sprawa. Dla czytelnika nie jest obojętne, jakim stylem napisana jest książka. Mnie osobiście i moim kolegom - nauczycielom z którymi czytaliśmy wspólnie opowiadania — język Piętaka przypadł do gustu. Ale czy przeciętny chłopski czytelnik zupełnie bez zastrzeżeń podzieli nasze zdanie — nie jesteśmy pewni.

Stanisław Grabowski

FLORIAN ZYGAŁ

ORGANIZACJA PRACY — ROZWOJ SPÓŁDZIELNI

W zagadnieniu socjalizacji wsi bardzo ważnym problemem jest sam moment przystąpienia chłopa do spółdzielni. Jest to przecież zasadniczy zwrot w jego życiu, przede wszystkim zaś w jego świadomości. W psychice chłopa toczy się wówczas głęboka, wstrząsająca nieraz walka, rysują się głębokie konflikty i zmagania wszystkiego co „stare" z „nowym". Pracując w spółdzielni produkcyjnej ulega z jednej strony nadal oddziaływaniu wstecznych sił, z drugiej zaś rozwój nowych stosunków w otaczającej go rzeczywistości przeobraża jego świadomość. Nie jest on jedynie manekinem, lecz rozumuje, analizuje otaczającą go rzeczywistość, a kierowany realnym marzeniem, konkretną wizją przyszłości, przezwycięża powoli i mozolnie wszystko, co było „stare", staje po stronie „nowego".

St. Piętak pokazał w swej książce tylko jedną stronę medalu — mianowicie zewnętrzną walkę, zewnętrzne konflikty, dające się zobaczyć niejako „gołym okiem". Nie pokazał natomiast wewnętrznych zmagań psychicznych chłopa, nie wprawił w ruch sprężyn, które kazały mu stać się członkiem spółdzielni. Spółdzielnia została zawiązana, ale kim byli jej członkowie i dlaczego przystąpili do wspólnego gospodarowania tego „Wspólna dolina" nie wyjaśnia.

Ważny problem poruszony przez autora, a zaobserwowany przeze mnie we wsiach spółdzielczych — to występowanie chłopów ze spółdzielni. Przyczynami tego zjawiska — zdaniem autora — to tylko i wyłącznie agitacja kułaków. Majchrowa Zugajowa każe się „wymazać", bo „Kąkol spotkał ją raz i groził". Wojteczkowa — bo „sumienie i ludzie wytykają palcem", Czerwonka — „bo Trela go namówił... robił... ostatnio u niego". I to wszystko.

Czyli — tańczmy jak grają, tańczmy zwłaszcza przed tymi, którzy po staremu grają?

Z własnych obserwacji dokonanych w spółdzielni produkcyjnej Kraszkowice koło Wielunia wiem, że ataki kułaków na spółdzielców, chociaż wyjątkowo silne i bezwzględne — nie zdołały skłonić ani jednego z nich do wystąpienia ze spółdzielni. Istniały w niej czynniki, które w ostrej walce mobilizowały członków do dalszej pracy, mianowicie troskliwa opieka ze strony Komitetu Powiatowego Partii, sprężysta organizacja pracy, oraz duma ze wspólnie osiągniętych sukcesów. W spółdzielniach produkcyjnych Raczyn i Zacharzyn w powiecie chodzieskim po roku ich istnienia zrodziły się tendencje do występowania członków. Reakcja kułacka odegrała w tym zjawisku minimalną rolę Występowanie spowodowało przede wszystkim brak czynników, mobilizujących członków do wspólnej pracy. Zawiodła organizacja pracy, nie osiągnięto spodziewanych wyników produkcyjnych, lepszych niż na indywidualnej gospodarce. Nie dopisały także organizacje polityczne, spółdzielnię pozostawiono samej sobie. Są to sprawy bardzo istotne, gdyż silnego zwartego organizacyjnie, umiejętnie gospodarującego kolektywu wróg tak łatwo nie zaatakuje, zwłaszcza, jeżeli spółdzielnia otoczona jest czujną opieką gminnego i powiatowego aktywu. Jego działalność jest niekiedy wtórna w tym sensie, że uderza sukcesywnie w słaby kolektyw, wykorzystując złą sytuację spółdzielni.

Autor wyminął problemy organizacji pracy, jej wydajności, nie pokazał niedociągnięć w pracy politycznej — wskutek czego przecenił siły wroga klasowego, straszy jego potęgą i spółdzielców i czytelnika, podobnie jak Warmiński w „Zwycięstwie", które miałem możność widzieć. A to jest moim zdaniem błąd. Nie zwalajmy całej winy na wroga, bo w ten sposób nie tylko fałszujemy prawdę, ale i budujemy potęgę wroga, jakiej on nie ma.

Florian Zygał

JAN CEBO

WALKA ALE NA JAKIM ETAPIE?

PRACUJĘ już od 1945 r. jako nauczyciel szkoły podstawowej we wsi Ilowo, pow sępolińskiego, woj. bydgoskie. Jako aktywista stykam się bezpośrednio z problematyką wsi spółdzielczej, osobiście też uczestniczę w toczącej się tam walce klasowej.

Stanisław Piętak przedstawia we „Wspólnej Dolinie" fragmenty dziejów nowej, socjalistycznej wsi nad Sanem, rodzącej się w ogniu zażartej walki z bogaczami wiejskimi.

Obserwujemy zatem w książce walkę „starego z nowym", przy czym „stare" — kułactwo jest lepiej zorganizowane i aktywniej oddziałujące na środowisko niż „nowe" — członkowie kolektywu. Bogacze potrafili nawet odciągnąć członków ze spółdzielni produkcyjnej. Tak może się — rzecz prosta — zdarzyć. Przez jakiś czas kułacy istotnie mogą mącić, a nawet przeważać. Jeżeli jednak książka ma wychowywać, w pewnym więc sensie wyprzedzać życie, a równocześnie zapowiadać poprawnie dalszy jego ciąg, to dziwne jest dla mnie, że we wsi produkcyjnej widzimy tylko jednego aktywistę — Władka Zugaja — który sam dźwiga ciężar walki o utrzymanie i poszerzenie kolektywu. Nie widać aktywu powiatowego, przedstawicieli sił postępu z gromady i gminy, które przecież odniosą w końcu zwycięstwo. Po czasie zjawia się w spółdzielni z powiatu II sekretarz PZPR, który wykazał Władkowi błędy, stwierdził, że ominął „statut" i pojechał, lecz nic konkretnego nie doradził. Członków, którzy odpadli, nie zdołano na powrót pozyskać — a byli oni przecież z biedoty. Piętak pokazuje spółdzielnię produkcyjną w r. 1949. Zaczynały one dopiero powstawać. Mogły więc być i takie, na polach których ani jeden traktor nie przeorał ziemi. A członkowie pracowali po staremu końmi, mokło im zboże, pomocy znikąd nie otrzymali i kułacy mogli drwić na całego, zręcznie odciągając mniej przekonanych spółdzielców. Ale i wówczas już, chcąc być w zgodzie z prawdą, raczej mieliśmy do czynienia aż z nazbyt hojnym wianowaniem spółdzielń. Wszak tow. Tepicht przestrzegał przed „cukierkiem", jakiego oczekują deklarujący się chłopi.

Tak czy inaczej opowiadanie to czytać będą chłopi teraz, kiedy walka spółdzielni produkcyjnych z wrogiem zewnętrznym oraz pomoc partii, aktywu w okolicy i władzy ludowej znajdują się na dalszym i wyższym etapie.

U nas w powiecie trwa walka i to jeszcze jaka! Np. w Obkasie w r. 1951 zaraz po zebraniu organizacyjnym chłopów w sprawie założenia spółdzielni spalono w centrum wsi zabudowania, które mieli przejąć spółdzielcy pod obory, stajnie i spichrze. Wstrzymał ten wrogi pożar prace organizacyjne, ale tylko na chwilę. Bo czy walka z wrogiem klasowym oznacza pozostawienie spółdzielców na łasce losu? Wprost przeciwnie, czujna troska i opieka wzrasta z każdym rokiem. Tak się mają rzeczy.

Dlatego i w walce wróg teraz już nie czepia się tego, że nie ma traktora. Są traktory, są POM-y. Orzą i koszą. Teraz np. u nas, we wsi spółdzielczej Płocicz — gdy raz zdarzyło się, że snopowiązałka skosiła żyto za wysoko, wróg już rozgłosił to w powiecie i nawet oderwał od spółdzielni dwóch członków. Jeden — Węglarz — na skutek pracy naszego aktywu już wrócił. Teraz, jak z tego wynika, walka idzie o dowody wysokich plonów i prawdziwie socjalistycznej gospodarności. Na tym etapie walki wróg wozu już nie może przewrócić, wtyka kijki między szprychy kół, a ludzie coraz gęściej włażą na wóz.

Wszak w naszym małym powiecie mamy już 8 wsi spółdzielczych i trwają przygotowania do zorganizowania kilku następnych. Na wyższym też etapie znajduje się sama gospodarka spółdzielni i życie jej członków. Na wyższym — opieka aktywu gminnego i powiatowego oraz pomoc państwa.

Wszystkie nowe spółdzielnie są należycie obsługiwane przez traktory i motory do maszyn. W każdej jest świetlica, przedszkole, w trzech zorganizowano żłobki dziecięce, zainstalowano głośniki radiowe, dojeżdża często „Film Polski", przyjeżdżają z miast ekipy świetlicowe, wygłasza się odczyty, założono bogate biblioteki i kursy wieczorowe, organizuje się dla członków wycieczki do ośrodków przemysłowych. Dzieci otrzymują stypendia, mają pierwszeństwo w przyjmowaniu do szkół średnich i wyższych. Jeden z synów członka spółdzielni ze Zboża uczestniczył w Berlińskim Zlocie Młodzieżowym. Oto przejawy opieki i troski władz naszej Polski Ludowej. A tego we „Wspólnej Dolinie" strasznie mało, bo 49 r.?

Autor przedstawił w swej książce i nauczycielstwo, ale bardzo jednostronnie. Wybrać akurat niedołężnego, starego Cibora Adama i przedstawić go, jako reprezentanta nauczycielstwa w historii walki o wieś socjalistyczną—uważam za polityczny błąd. Przecież z naszego niewielkiego powiatu mogę wymienić kilkunastu dzielnych nauczycieli — walczących o socjalizm na wsi — i najdzielniejszego z nich Lubińskiego Jana, który współorganizował pierwszą w powiecie wieś spółdzielczą.

We „Wspólnej Dolinie" nie widzimy oddziaływania szkoły i organizacji młodzieżowej na chłopów. Czytamy, że jest tam ZMP, odbywa zebrania — lecz o czym się tam mówi, nad czym radzi i co robi, tego nie wiemy. A wystarczy tylko przeczytać „Standar Młodych", by dowiedzieć się, ile to pięknych czynów dokonuje młodzież ZMP-owska w walce o socjalistyczną wieś.

Chciałbym koniecznie zetknąć się z autorem książki „Wspólna Dolina", porozmawiać z nim o naszych wątpliwościach co do poruszanych przez niego problemów. W bezpośredniej rozmowie wyjaśnilibyśmy sobie niejedną wątpliwość, a może, co ważniejsze, zapoczątkowalibyśmy tradycję szczerych rozmów pisarza z czytelnikiem.

Jan Cebo

STANISŁAW PIĘTAK

Odpowiadam

NIE łatwa to sprawa bronić się, lub tłumaczyć przed swym czytelnikiem. Zawodowy krytyk niekiedy ledwie przeglądnie powieść i już o niej napisze, nie angażując w wypowiedzi niemal wcale swego serca. Gniew, oburzenie i pretensje czytelnika, piszącego o książce, trzeba brać poważniej, w jego uwagach bowiem każde zdanie ma pokrycie, za każdym słowem stoją chwile istotnego przeżycia.

Redakcja „Wsi" znowu wyprzedziła inne pisma literackie, stwarzając w tak wielkim zakroju dział wypowiedzi krytycznych czytelnika o współczesnej produkcji literackiej. Ta forma wypowiedzi szeroko praktykowana w Związku Radzieckim i spełniająca doniosłą tam rolę, u nas dopiero czyni pierwsze kroki, jest jeszcze niepewna, jeszcze zapatrzona niejednokrotnie w drukowane słowo krytyczne.

O mojej „Wspólnej dolinie" wypowiedzieli się nauczyciele z nieznanych mi bliżej spółdzielni produkcyjnych, ludzie mocno związani swoją pracą ze środowiskiem chłopskim i nie rzadko aktywni działacze partyjni. Ich krytyka, choć miejscami surowa, jest celna i bezwzględnie ukazuje niedostatki mojej książki — zgadzam się z nią niemal zupełnie...

Tak mówiąc, mógłbym wziąć kapelusz i pójść do domu. Byłoby to jednak nierozumne posunięcie, w ten sposób uniknąłbym rozmowy z ludźmi, którzy szczerze boleją, że temat bogaty w fakty i przeżycia ludzkie nie ukazany został przeze mnie w wielkiej, atrakcyjnej, porywającej formie, choć miał po temu zadatki. Usiądźmy więc, porozmawiajmy najprościej, tak, jakbyśmy podawali dłoń staremu, dawno niewidzianemu przyjacielowi.

„Wspólna dolina", zbiór opowiadań i szkiców jest dziełem stworzonym dla doraźnego celu, agitacyjnym w istotnym znaczeniu tego słowa. Chodziło mi (moi krytycy zresztą to łatwo odczytali) o spopularyzowanie idei spółdzielczości produkcyjnej wśród wahającego się chłopstwa. Zamiast jednak napisać kilka publicystycznych artykułów stworzyłem szereg opowiadań, które miały sprawę ożywić, uczynić ją w wyrazie artystycznym bardziej przekonywającą.

Zacząłem pisanie od przedstawienia sytuacji, w jakiej żył chłop, średniorolny w ustroju kapitalistycznym („Śmierć dziadka"). Następnie na przykładzie małego przysiółka wiejskiego pokazałem pierwsze miesiące rewolucji społecznej w Polsce. Jest rok 1945, wiosna. Biedota wiejska wzięła nadzieloną rolę, kułactwo współpracujące z działającym wtedy na wielką skalę podziemiem, przystąpiło do otwartej walki — grozi, niszczy plony, podpala, zabija... Już tytuł opowiadania — „Pierwsze starcie", mówi, że jest to zaledwie początek walki.

O sytuacji na wsi w latach 1946 — 1948, o narastaniu i innych formach walki klasowej w owym czasie (kułak poczyna przybierać coraz inne solidarystyczne maski, byle tylko biedaka i średniorolnego chłopa oszukać) mówią dalsze opowiadania — „Dobroć bogacza" i „Lekcja".

Na uboczu głównego nurtu zagadnień, wydawałoby się, stoi nowela pt. „Duszkiewicz". Jakże charakterystyczne jest, że ani jeden z moich krytykujących czytelników nie wspomniał o niej! Czyżby dlatego, że konflikt inteligenta jest im z przeżycia nieznany, czy też obojętny?

Ja przywiązuję znaczną wagę do powyższego utworu. Abstrahując od zagmatwanej w nim nieco fabuły, daje ona obraz tych głębokich sprzeczności i konfliktów, jakie przeżywała grupa tzw. pisarzy chłopskich (proces wcale jeszcze żywy), a z nią wielka część inteligencji pochodzenia wiejskiego, zanim odeszła od dawnego, ciasnego swego świata pojęć i zrozumiała, doceniła i zaczęła żyć ideą socjalizmu.

Wszystkie wymienione opowiadania — może z wyjątkiem „Lekcji", którą chciałbym jeszcze raz w pełniejszej i intelektualnie mocniejszej formie napisać uważam za utwory skończone, lepiej czy gorzej, ale w pełni oddające zamysł autora, inaczej wszakże ma się historia z ostatnią, tytułową nowelą, tu sam ja mam ogromne wątpliwości i zdaję sobie aż nadto dobrze sprawę, dlaczego proza nie podoba się i czyni tyle zawodu czytelnikowi.

Konflikty, zagadnienia, realia nowego życia zostały zaledwie zanotowane we „Wspólnej dolinie". Tego rodzaju utwór mógłby być przyjęty, gdyby już istniały powieści potężne, oddające dzieje walk i pierwsze lata chwały i załamań spółdzielczości produkcyjnej w naszym kraju, ponieważ tak nie jest, nie może się podobać, może tylko swą szkicowością w ujęciu tematu niecierpliwić i zniechęcać. Z uwag moich krytyków skorzystam. Gdybym drugi raz pisał o takiej „Wspólnej dolinie" poszerzyłbym opowiadanie, nasycił je obficiej realiami, przedstawił liczniejszą grupę aktywistów, umięśnił je, że się tak wyrażę, w obecnej bowiem postaci posiada ono tylko kości, a to mało!...

Czytelnicy — krytycy z oburzeniem niemal wspominają, że w moich opowiadaniach dałem tylko jedną postać nauczyciela i do tego ujemną. Mógłbym na swoją obronę powiedzieć, że Cibus nie był nauczycielem, że zdobywał zaledwie w tym kierunku potrzebne wykształcenie i porał się uczeniem jedynie w czasie okupacji — tak, ale ja przecież o tym nie napisałem.

Błąd mój wynikł z dawnych nawyków pisarskich. My twórcy, ulegający w swojej młodości t.zw. literaturze aluzyjnej i antyrealistycznej długo jeszcze będziemy musieli walczyć z reliktami dawnego w sobie. Skróty są dobre, jeśli praktykowane są przy opisie natury czy opisie przedmiotu, nie mogą dotyczyć przecież człowieka i to jeszcze wroga, o którym trzeba wszystko szczegółowo i jasno opowiedzieć, by czytelnik miał pełną satysfakcję, analizując i przeżywając tę postać.

Uwagi moje pisane ad hoc i niemal w poczekalni na dworcu, dobiegają końca, a jeszcze nie powiedziałem najważniejszego słowa a to, że już rozpoczynając artykuł, chciałem podziękować moim krytykom. Ich czułość i rzetelność w osądzeniu książki jest z tego względu istotna i prawdziwa, bo oni dzieło kontrolowali z potęgą nowego życia, które znają na wskroś, w najdrobniejszym przejawie, są wszakże jego cząstką.

Myślę, że gdybym posiadał znajomość dzisiejszego wiejskiego życia równą im, gdybym z taką samą żarliwością ideową podchodził do człowieka — działacza, jak oni, napisałbym lepszą, a może nawet znakomitą książkę.

Pocieszmy się, nie wszystko jest stracone. Poznaliśmy swoje błędy — siądźmy do nowego dzieła, stwórzmy je doskonalsze.

P. S. Na marginesie nasuwa mi się jeszcze jedno spostrzeżenie. Jeden z moich krytyków wspomniał o tak ważnej funkcji dzieła, jak język, styl — i stwierdził, że jemu i jego kolegom styl „Wspólnej doliny" podobał się. Czy będzie jednak odpowiadał pracującym chłopom, tego nie jest pewien?... Byłbym rad, aby w przyszłości ktoś pisząc już o innej książce i czyniąc podobne uwagi, postarał się szerzej wyjaśnić, w czym widzi swe wątpliwości — w składni utworu np. czy w słownictwie... Byłobyby to dla pisarzy bardzo pouczające.

Stanisław Piętak

STEFAN WALICKI

O przełom w hodowli

NOWA ustawa o obowiązkowych dostawach zwierząt rzeźnych ma nie tylko na oku cele doraźne (zabezpieczenia trwałego i równomiernego zaopatrzenia ludności miast w mięso), ale jest jednym z ogniw tej planowej polityki gospodarczej naszego ludowego Państwa, która ma na celu wprowadzenie zasadniczych przemian **w profilu produkcyjnym** wszystkich dziedzin wytwórczości materialnej, dla stworzenia warunków do szybkiego i wszechstronnego rozwoju gospodarstwa narodowego.

W gospodarce kapitalistycznej — gdzie głównym motorem działalności przedsiębiorcy jest jedynie i wyłącznie jego prywatny zysk — profil produkcyjny głównych gałęzi wytwórczości materialnej: przemysłu, transportu, rolnictwa, kształtował się w sposób jaskrawo sprzeczny z interesem społecznym.

Specjalnie wyraźnie to zjawisko występuje w gospodarce krajów zależnych, stanowiących obiekt wyzysku ze strony międzynarodowego kapitału, w krajach kolonialnych i półkolonialnych.

Jaskrawą ilustracją tych stosunków może być nie tylko, tak niekorzystna z punktu widzenia możliwości rozwojowych całego gospodarstwa narodowego, dysproporcja między rozwojem przemysłu ciężkiego i lekkiego, nie tylko jednostronność transportu, w którym główną rolę odgrywał (z pominięciem transportu wodnego, drogowego i lotniczego) jedynie transport kolejowy, lecz także nie mniej szkodliwa z punktu widzenia interesu społecznego nikła rola produkcji hodowlanej w całokształcie produkcji rolnej i gospodarki Polski przedwojennej.

O ile w początkowym okresie rozwoju kapitalizmu w Polsce, a więc w latach 1750—1830 powstanie wielkiego przemysłu, szybki rozwój wielkich miast — skupisk klasy robotniczej, wzrost zatrudnienia w zawodach pozarolniczych i związany z nim popyt na artykuły hodowlane — wywołał ogromny przewrót w profilu produkcyjnym rolnictwa, podnosząc ciężar gatunkowy produkcji zwierzęcej w całokształcie produkcji rolnej do 50 proc., to w okresie późniejszym rozkładu stosunków kapitalistycznych proces ten ulega wyraźnemu zahamowaniu.

W roku np. 1884 wartość produkcji zwierzęcej (w/g obliczeń Szczepańskiego) wynosiła w Polsce zaledwie ok. 42 proc. wartości całej produkcji rolnej, w roku 1911 (w/g obliczeń Koszutskiego) już tylko 41 proc., a w roku 1937 spadła do 40 proc. całokształtu produkcji rolnej.

Odmiennie od stosunków u nas panujących kształtował się ten stosunek produkcji zwierzęcej do produkcji roślinnej w krajach o rozwiniętej gospodarce kapitalistycznej. Wartość np. produkcji zwierzęcej w Anglii była 4½ razy wyższa od wartości produkcji rolniczej, w Niemczech dwukrotnie. Jeszcze inaczej kształtował się ten stosunek produkcji zwierzęcej do roślinnej w krajach kolonialnych, najbardziej zacofanych gospodarczo. Tak np. w Indiach wartość produkcji zwierzęcej stanowiła zaledwie 1/7 wartości produkcji roślinnej.

Słaby rozwój hodowli w Polsce przedwojennej odbijał się niesłychanie niekorzystnie na całokształcie gospodarki narodowej, hamował bowiem intensyfikację produkcji roślinnej (brak obornika, nikły udział upraw pastewnych, tak korzystnych z punktu widzenia prawidłowego płodozmianu, w całokształcie produkcji roślinnej itp.), utrudniał rozwój przemysłu lekkiego, opartego o surowce pochodzenia zwierzęcego (skóra, wełna itp.), ograniczał możliwości eksportowe, odbijał się fatalnie na wyżywieniu ludności pracującej.

Mimo ogromnych wysiłków w dziedzinie hodowli ze strony mało i średniorolnych chłopów (w produkcji bowiem drobnych i średnich gospodarstw chłopskich produkty hodowlane stanowiły 60 proc.) wobec przewagi w rolnictwie gospodarstw o charakterze kapitalistycznym, posiadających 50 proc. użytków rolnych, 33 proc. koni, 60 proc. krów i 70 proc. pogłowia trzody chlewnej, a które lekceważyły i nie doceniały sprawy hodowli — do 1939 sytuacja nie tylko nie uległa żadnej poprawie, ale pogarszała się z roku na rok.

System bowiem kapitalistyczny odcinał od możliwości prowadzenia hodowli prawie trzecią część, a więc ogromną ilość drobnych i średnich gospodarstw chłopskich. Wystarczy wspomnieć, że np. w roku 1927 (a więc w okresie jeszcze dobrej koniunktury) — ok. 900 tys. gospodarstw chłopskich nie posiadało wcale krów, a 950 tys. — ani jednej sztuki trzody chlewnej!

Dopiero w Polsce Ludowej, zgodnie z interesem społecznym, hodowla zaczęła odgrywać znacznie większą niż przed wojną rolę w całokształcie produkcji rolnej.

W roku np. 1950 stosunek wartości produkcji zwierzęcej do wartości produkcji roślinnej był już równy.

W świetle wytycznych Planu 6-letniego — który przewiduje wzrost produkcji zwierzęcej o 2/3 a roślinnej o 1/3, a więc zmianę w kierunku wprowadzenia i utrwalenia zdecydowanej przewagi hodowli w całokształcie produkcji rolnej — te osiągnięcia są wciąż niedostateczne.

Stoi zatem przed nami sprawa przyspieszenia wzrostu pogłowia i wydajności zwierząt i przestawienia wszystkich gospodarstw rolnych (państwowych, spółdzielczych i **drobnotowarowych)** na kierunek hodowlany.

Liczba inwentarza żywego na 100 ha użytków rolnych

Kraj	Rok	Bydło rogate	trzoda chlewna	owce	drób
Anglia	1938	44	22	133	525
Niemcy	„	69	82	17	336
Dania	„	103	92	6	737
Polska	„	41	29	13	260
Polska	1955	46	50	18	662

Ale jeszcze mimo zasadniczych (tak korzystnych dla chłopów) przemian na rynku cen, ogromnego wzrostu (w por. sprzed wojną) opłacalności produkcji zwierzęcej, wielkiego wzrostu zapotrzebowania na produkty hodowli ze strony ludności pracującej w zawodach pozarolniczych i ze strony przemysłu lekkiego, rolnego i spożywczego — duża (bo prawie 1/3) część drobnych i średnich gospodarstw chłopskich oraz większość gospodarstw kułackich uchyla się od hodowli, ograniczając się wyłącznie do uprawy zbóż chlebowych i ziemniaków lub upraw specjalnych.

Nowa ustawa ma właśnie na celu aktywizację tych gospodarstw w dziedzinie hodowli, wprowadzając faktyczny obowiązek hodowania zwierząt gospodarskich ze specjalnym naciskiem na trzodę chlewną oraz drób.

Przed wojną bowiem nie tylko niekorzystnie z punktu widzenia interesów społecznych przedstawiał się nikły udział hodowli w całokształcie gospodarki rolnej, poważne również zastrzeżenia wywoływał stosunek wzajemny poszczególnych gałęzi hodowli.

Wszak w całokształcie wartości produkcji zwierzęcej największy ciężar gatunkowy reprezentowało przed wojną mleko (32 proc.), później żywiec wieprzowy (24 proc.), jaja (6 proc.), żywiec wołowy (5 proc.) itp. Nieco korzystniej stosunki te kształtowały się w drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich, gdzie mleko reprezentowało 36 proc. wartości produkcji zwierzęcej, żywiec wieprzowy — 30 proc., żywiec wołowy (i sprzedaż cieląt) — 12 proc., jaja — 8 proc., drób bity — 3 proc. itd.

Trzeba obecnie znacznie powiększyć udział żywca wieprzowego i drobiu bitego w całokształcie produkcji zwierzęcej kosztem mleka, to znaczy wykorzystując w większym stopniu odtłuszczone mleko i jego przetwory (twaróg, serwatka itp.), jako paszę dla trzody chlewnej i drobiu, a zwiększając towarową produkcję masła.

Skuteczność nowej ustawy gwarantuje nie tylko przymus prawny, ale przede wszystkim ogromna pomoc państwa ludowego w węglu, paszach treściwych, ulgi podatkowe i premie zastrzeżone ustawą, z których mogą korzystać rolnicy rozwijający w swych gospodarstwach hodowlę. Można być pewnym, że w ślad za tą ustawą nastąpi jeszcze w toku realizacji Planu 6-letniego i następnego planu 5-letniego cały szereg dodatkowych zarządzeń i posunięć gospodarczych, jak np. uporządkowanie dziedziny budownictwa budynków, związanych z produkcją zwierzęcą (obory, chlewy, kurniki, owczarnie) zwłaszcza w PGR-ach i spółdzielniach produkcyjnych oraz również drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich, przy wszechstronnym wykorzystaniu zastępczych materiałów budowlanych; jak np. opracowanie gruntownego planu melioracyjnego dla zagospodarowania łąk i pastwisk, zorganizowanie na wyższym poziomie nasiennictwa, zwłaszcza roślin pastewnych, lepsze wykorzystanie odpadkowych pasz treściwych przemysłu lekkiego i przemysłu rolno-spożywczego itp. Sprawa bowiem hodowli jest jedną z najważniejszych spraw w całokształcie produkcji rolnej w Polsce.

Ze względu na zasadniczy, a nie tylko doraźny charakter tej ustawy przyjęta ona zostanie z pewnością ze zrozumieniem i zadowoleniem przez pracujących chłopów. Świadczy o tym wiele wypowiedzi w ciągu 1951 roku ze strony przodujących rolników, domagających się od dawna ustawowego uregulowania sprawy hodowli w Polsce. Ob. Klimczak Michał 56-letni gospodarz na 4 ha w powiecie Zagań, tak np. pisał do „Wsi": „Mam ci ja taki projekt do kontraktacji trzody chlewnej. Powinna być na to taka ustawa, jak jest na zboże czy na kartofle, żeby kontraktacja była obowiązkiem każdego rolnika, a nie tak, jak dzisiaj jest, że jak mi się podoba, to kontraktuję, a jak mi się nie podoba, to nie kontraktuję. Bo przecież tu chodzi o wielką i ważną dla całego narodu sprawę".

Stefan Walicki

HENRYK WORCELL

Listy z Trzebieszowic (2)*

STARY DOBROWOLSKI

„Przodownicy pracy otoczeni są powszechnym szacunkiem narodu".

(Z art. 14 projektowanej Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej).

Kilka dni temu, wczas rano, przyszedł do mnie składowy Zygerkorn — „dziadek", jak go popularnie nazywają robotnicy na rampie — i z miejsca:

— Ma pan czas?

— To zależy...

— Jest robota akurat dla pana, trzeba śrutować cztery tony jęczmienia.

— Gdzie, w magazynie?

— Nie, u Dobrowolskiego w Ośrodku Maszynowym.

— A, to co innego, tam pójdę.

— Ja od razu wiedziałem... — stary Zygerkorn uśmiechnął się domyślnie i wykonał ręką ruch, naśladujący pisanie — tam pan może dużo zobaczyć — po czym cofając się już ku drzwiom, dodał: — ale to szkoda, że pan w swoim artykule o „rampie" nie zaznaczył, że i borowina idzie stąd do uzdrowisk. Niechby ludzie wiedzieli, że tu się nic nie marynuje...

Przebrałem się w robocze ubranie i pośpieszyłem do Ośrodka Maszynowego. Dzień był grudniowy, ale bezśnieżny, pogoda raczej listopadowa. W szeroką dolinę trzebieszowicką wtoczyły się dwa wściekłe wiatry, wiejące z różnych stron, skłócone z sobą, walczące w niedorzecznym współzawodnictwie o tę resztę liści, jakie jeszcze tu i ówdzie na drzewach pozostały. Chmury, kłębione i rwące się w strzępy, spadały w dół na zalesione szczyty gór — widniejący daleko na południe Śnieżek zdawał się dymić niby wulkan sudecki. Niekiedy poprzez zwały chmur i lotnych mgieł przedzierało się słońce i wtedy w całym tym górskim kotle tworzył się nieopisany chaos świateł, cieni i mroków — północne stoki gór jawiły się wówczas nagle złowrogą, pionową ścianą, która lada chwila zwali się na Trzebieszowice.

Na drodze, tuż przed magazynem zbożowym, spotkałem II sekretarza koła partyjnego, nauczycielkę Czopową.

— Dokąd to? — próbowała przekrzyczeć wiatr.

— Do Ośrodka Maszynowego!

— A nie wie pan, czy młody Dobrowolski wrócił już ze zjazdu we Wrocławiu?

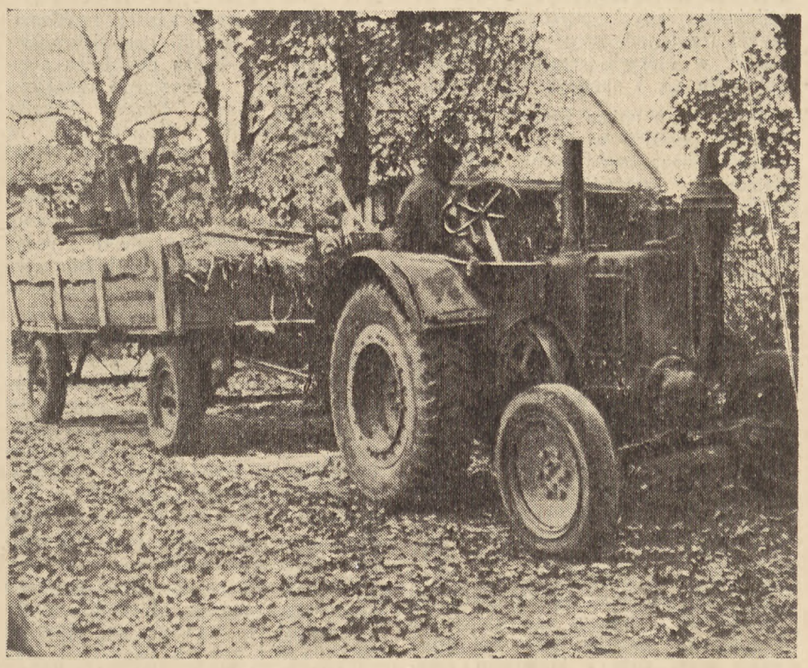

— Nie wiem, powinien już być...

— Ja tam przyjdę po lekcjach, mam ważną sprawę

Ale jaką, tego nie powiedziała. Przysadzista, gruba, okutana w płaszcz i dwa szaliki, podobna raczej do zasobnej gospodyni niż do nauczycielki, ruszyła pod wiatr w kierunku szkoły, a ja w przeciwną stronę, też pod wiatr.

W Ośrodku, otoczonym zewsząd budynkami i forteczną iście bramą, było zacisznie, tylko gdzieś górą wyło i chrobotało po dachach. Starego Dobrowolskiego zastałem na podwórzu. Niski, suchy, wąsaty, o twarzy jakby uwędzonej w dymie i ściągniętej u dołu klamrą wydatnej brody, kuśtykał raźno na swej protezie — istny gnom, żywiący się pewnie koksem i wszelakiego rodzaju żelastwem.

— A, jest pan... — przywitał mnie, wykonując żwawo pół obrotu. — Właśnie Zygerkorn mówił mi, że pan... Wszystko już przygotowałem, śrutownik, motor, ale ziarna jeszcze nie przywieźli. No, nie przywieźli! — Małe zmartwienie, zaczekam... Syn wrócił z Wrocławia?

— Nie, ale powinien o dziewiątej przyjechać. Powinien, powinien.

Stary miał zwyczaj powtarzania końcowych wyrazów.

Weszliśmy do warsztatu. Tu stary pokazał mi rzecz całkiem zwyczajną, jedną z tych, jakie można oglądać w każdym większym warsztacie. Mówię: zwyczajną, a jednak stanąłem wobec niej wzruszony i jestem pewny, że każdy doznałby podobnego uczucia, gdyby był na moim miejscu i znał Andrzeja Dobrowolskiego. A warto go poznać, bo tego rodzaju ludzie nie rodzą się na kamieniu.

Ten 64-letni kaleka, teraźniejszy pełnomocnik Ośrodka Maszynowego w Trzebieszowicach, za swych młodych lat pracował, jako stelmach w majątku Alfreda Potockiego w Poluchowie Wielkim, pow. Przemyślany. „Tam było tak — opowiadał — że kto chciał żyć, musiał kraść. Ja nie chciałem kraść. Nie dlatego, żebym się bał, albo żałował Potockiego, nie, nie mogłem, nie umiałem, tak już byłem wychowany. I dlatego dziadowałem razem z rodziną na jaśnie pańskim majątku".

Mimo, że był pierwszorzędnym, wszechstronnie uzdolnionym rzemieślnikiem, w r. 1918 zwolniono go z pracy za „buntowanie" majątkowych robotników i żądanie podwyższenia głodowych płac. Nie przejął się zbytnio tym ciosem. Zaczął pracować w swoim warsztacie, ponadto zajął się intensywniej pszczelarstwem, powiększył pasiekę — hrabia Potocki był na tyle łaskaw, że nie bronił pszczołom grasować po pańskim rzepaku. Po upływie paru lat Dobrowolski dochrapał się benzynowego motoru i od tego czasu datuje się jego pionierska praca w tamtych okolicach: jeździł ze swym motorem od gospodarza do gospodarza i za nader skromnym wynagrodzeniem wymłócał im zboże, rżnął drzewo, naprawiał kieraty. W Trzebieszowicach mieszkają repatrianci z tamtych stron: Regner, Kociołek, Dyrka, Szymański, Dorosz, Dżaluk, Pająkiewicz — i wszyscy bez wyjątku, gdy ich zagadnąć o Dobrowolskiego, wyrażają się o nim z najwyższym uznaniem: „O tak, on dużo dobrego ludziom zrobił", „to dobry człowiek, nikomu nie odmawiał pomocy".

Latem 1945 roku cała rodzina Dobrowolskich przybywa na Ziemie Zachodnie, starzy z najmłodszym synem i córką osiedlają się w Orłowcu, gm. Lądek-Zdrój. Dobrowolski z miejsca daje się poznać, jako wybitny fachowiec - kołodziej, ślusarz, kowal, stolarz, elektromonter, murarz i zdun w jednej osobie. Toteż gdy w r. 1949 w Orłowcu przystąpiono do założenia Ośrodka Maszynowego, Dobrowolski objął w nim funkcję pełnomocnika i majstra. „Teraz dopiero w Polsce Ludowej — opowiadał z entuzjazmem — oceniono moją pracę, dano mi możność pokazania, co potrafię". W ciągu dwóch lat prowadził Ośrodek tak wzorowo, pracował z takim zapałem nie tylko w Orłowcu, ale i w Lądku-Zdroju, że w grudniu 1950 r. nadano mu dyplom przodownika pracy.

W kwietniu 1951 r. władze powiatowe postanowiły przerzucić Dobrowolskiego do Trzebieszowic i tu powierzyć mu zorganizowanie nowego Ośrodka Maszynowego. Było to konieczne, gdyż tutejszy Ośrodek istniał właściwie tylko z nazwy. Nie było odpowiedniego pmieszczenia dla maszyn, nie było też człowieka, który by umiał się nim zająć. Wszystkie żniwiarki, kosiarki, kopaczki, porozciągane po całej wsi, stały w szopach i na podwórzach u gospodarzy, którzy na ogół traktowali te maszyny jako własność cudzą, ale nie gromadzką — toteż przedstawiały obraz nędzy i rozpaczy, były po większej części niezdolne do użytku, niektóre zniszczone w 80—90 proc.

Dobrowolskim przydzielono hektarową działkę ziemi i obszerne zabudowania gospodarskie. Wszystko tu należało zacząć od podstaw: stodołę przebudować na remizę, boczny murowany budynek na kuźnię i warsztat, zaprowadzić instalację elektryczną, pościągać z całej wsi maszyny rolnicze i wyremontować je. A czas naglił, był już maj, kosiarki muszą być gotowe na koniec czerwca, żniwiarki i snopowiązałki na połowę lipca.

Stary Dobrowolski początkowy okres swej pracy w Trzebieszowicach wspomina z goryczą, żali się na ludzi, że nie śpieszyli mu z pomocą, że sam musiał zwozić glinę i piasek, z trudem zdobywać cegłę i inny materiał. „Wierz mi pan, że nieraz to i płakać się chciało. Ja myślałem, że tu ludzie wiedzą, co to jest **Ośrodek Maszynowy**, że te maszyny, to przecie ich własność, że nie dla siebie je naprawiam tylko dla nich. Żeby chociaż ktoś z komitetu ośrodkowego zajrzał tu, poradził coś, pomógł... Ja przecie chcę, żeby tu ludzie przychodzili, interesowali się moją robotą, nawet krytykowali... Ja to lubię, ja chcę".

W rzeczywistości jednak nie było tak źle. Aby zrozumieć żal Dobrowolskiego trzeba pamiętać o tym, że przybył z Orłowca, gdzie ludzie znali go już od paru lat i gdzie on tych ludzi, jak gdyby sobie wychował, swoją pracą, swoją działalnością uświadomił ich klasowo. Więc nic dziwnego, że w porównaniu z Orłowcem Trzebieszowice wydały mu się istnym gniazdem zacofania i bierności. Prawdą jest, że Miler odmówił mu cegły, której miał u siebie pod dostatkiem z rozbiórki poniemieckich budynków, prawdą jest, że Małkowska zrobiła piekło, gdy Dobrowolski chciał z nieużytkownej części jej parceli czerpać nieużytkowny dla niej piasek, prawda i to, że nie mógł zdobyć podwody i swoim kosztem musiał zwozić materiał. Ale też nie da się zaprzeczyć następującym faktom, o których zresztą sam Dobrowolski wspomina z wdzięcznością, że Dorosz Franciszek ofiarował dla Ośrodka 1.500 cegieł, a Bublowa 1.800. Że Mieszczak w okresie wiosennych robót polnych „wypożyczył" swego syna na trzy dni w celu zorientowania Dobrowolskiego w terenie, zaznajomienia z gospodarzami i ich gospodarstwami. A z komitetu ośrodkowego przychodził Regner, często odwiedzał go sołtys, kilkakrotnie bywała II sekretarz, Czopowa. Pewnie, że to wszystko w porównaniu z uczynnością, uświadomieniem i dobrą wolą Orłowiczan było niewiele, ale niechże się Dobrowolski pocieszy, że ten stan rzeczy w Trzebieszowicach zmienia się z dnia na dzień na korzyść i że on sam swoją działalnością przyczynia się do tych zmian. Ludzie obserwują go, uczą się, biorą z niego przykład.

Gdy na zebraniu gromadzkim w listopadzie Dobrowolski wystąpił ze swoim sprawozdaniem i ostro zaatakował kilku gospodarzy, zalegających jeszcze z opłatą za użycie maszyn, widziałem, jak Zaleciło, szczerze się tą naganą przejął i już na drugi dzień zaległość wyrównał. Później to samo uczynili inni. A Dobrowolski mówił: „Ja się nie będę ceregielował, ja na zebraniu zawsze będę rąbał prawdę. Niech mnie krytykują, jak mają rację, ale ja też będę krytykował. Będę!" Oberwała wtedy i Małkowska i Trzepiczak Ludwik i Kubica Piotr — ludzie patrzyli na Dobrowolskiego z podziwem, niektórzy z lękiem, jakby oglądali kulawego diabła.

Gdy wreszcie w maju maszyny pościągano do Ośrodka, stary i jego 20-letni syn, Władysław, aktywny zetempowiec, zabrali się do roboty. Dzień w dzień zrywali się o godz. 4-ej rano, pracowali, zapominając o posiłkach, noc zastawała ich w prowizorycznym warsztacie przy świetle żarówek. A było co robić w tej gmatwaninie pokrzywionych osi, pogiętych sprzęgieł, rozkalibrowanych łożysk, startych bolców, uszkodzonych targańców, powiązanych drutem skrzydeł, wyłamanych listew, nieczynnych hamulców, potarganych płócien, zardzewiałych trybów. Trzeba było wiele pomysłowości i cierpliwości, by te najważniejsze części maszyn naprawiać i wyrabiać bez pomocy automatycznego spawacza i bez obrabiarki do metali. Dobrowolscy musieli się posługiwać zwyczajnym miechem kowalskim i różnymi pilnikami. „Najwięcej trudności mieliśmy — opowiadał młody Dobrowolski — z łożyskami do targańców. W gminnym ośrodku powiedziano nam, że takich łożysk własnym przemysłem w ogóle nie da się zrobić, przede wszystkim z powodu braku odpowiedniego materiału. Wtedy wpadliśmy z ojcem na pomysł wykorzystania łusek od pocisków artyleryjskich, których tu nie brak. Topiliśmy je w kuźni i odlewali łożyska w specjalnej glinianej formie. „A stary napychał swoją fajeczkę tytoniem, dziurkował ziemię protezą, przytakiwał synowi ruchem głowy i dopowiadał: „Tak, tu wszystko się da zrobić. Nie ma takiej roboty... Nieraz to żałuję, żem się urodził za wcześnie, gdybym był młodszy, mógłbym o wiele więcej zrobić dla Ojczyzny".

Na kilka dni przed rozpoczęciem żniw, maszyny były gotowe: 7 żniwiarek, 8 snopowiązałek, 5 kosiarek. Naprawione, wyczyszczone i naoliwione stały rzędami na podwórzu — że przyjemnie było spojrzeć. Każda maszyna posiadała swoją „metrykę", wykaz dokonanych napraw i groszowe niemal obliczenia kosztów reperacyjnych. Mimo tak trudnych warunków Dobrowolscy mogli byli naprawić większą ilość maszyn, lecz ilość ta byłaby wykonana kosztem jakości. „Chodziło mi o to — mówił stary — żebym w żniwa nie musiał biegać po polach z narzędziami i naprawiać maszyny. Bo jak maszyna źle przygotowana, to jej w robocie łatwo nie naprawisz, nie!

I co by chłopi powiedzieli? To moja bitwa: Ja szykuję się na nią z miechem i pilnikami, oni z jęzorami. Jak wygram, to i oni wygrają, a jakbym przegrał, napluć na moją reputację, napluć....

I rzeczywiście, kiedy w naszej górzystej okolicy zaczęły się opóźnione w tym roku żniwa i kiedy wypadło sprzątać wszystkie zboża równocześnie, maszyny Ośrodka zdały egzamin na celująco, wykonały plan z nadwyżką, zamiast bowiem przewidzianych 180 ha skosiły 220 ha.

Po żniwach stary Dobrowolski wziął udział w ogólnopolskich dożynkach w Poznaniu, był filmowany podczas pochodu, jego charakterystyczną twarz utrwalił rysownik. Rysunkowy portret znalazł się na łamach „Wsi". Stary przyjął te dowody wyróżnienia, jako rzecz całkiem naturalną, bez fałszywej skromności, ale i bez ostentacyjnej chwalby — podobiznę swoją ze „Wsi" dołączył do dyplomu przodownika pracy i premiowej książeczki PKO, opiewającej na sumę 600 zł, oraz artykułu, jaki się o nim i o jego synu ukazał w „Rolniku Polskim" — i razem z teczką schował do szafy. Miał rację mówiąc, że dopiero teraz w Polsce Ludowej oceniono jego pracę.

Jesienią Dobrowolscy podjęli się nowych prac. Należało teraz przegrodzić boczny budynek murowaną ścianą na dwie części: kuźnię i warsztat ślusarsko - stolarski, dorobić drzwi i okna, zniwelować klepisko i podłogę w stodole przerobionej już na remizę, wysunąć szeroki okap przed kuźnią, żeby w porze deszczowej naprawiać tu maszyny, urządzić warsztat, wmontować koła transmisyjne, ustawić wiertarkę do drzewa, taśmówkę, szlifierkę do metali, frezarkę, heblarkę...

Rys. St. Gierowski

Kiedy zaglądałem tu tydzień temu, znaczna część tych robót była już wykonana lub w toku realizowania. A dziś...

Stary wprowadził mnie do tej części szopy, którą miano przerobić na warsztat i tam właśnie zobaczyłem tę zwyczajną rzecz, która mnie tak wzruszyła. Oto wszystkie warsztatowe maszyny stały już na swoich miejscach, a z góry, od grubej, wzmocnionej klamrami belki zwisały czarne, rzemienne pasy. One unerwiały teraz cały warsztat i napełniały go utajoną dynamiką. Stary zakołysał się na protezie, podszedł do motoru, włączył prąd i oto jedna z maszyn, szlifierka zaczęła warczeć cicho i delikatnie niby instrument dentystyczny przed dotknięciem zęba. W chwilę później ruszyła taśmówka przy akompaniamencie miarowego stukotu, wreszcie i heblarka głośnym warkotem oznajmiła swoje życie — warsztat rozbudził się, zagrał Dobrowolskiemu najmilszą muzyką — stary ściskał w zębach fajeczkę i słuchał, słuchał, a gdy zatrzymał motor i maszyny zamilkły, jemu też jakoś nie chciało się zaraz mówić.

Ogarnęło mnie uczucie jakiegoś bezpieczeństwa, pewności siebie, wartości życia — jak gdybym nagle zrozumiał, że pracą takich ludzi jak Dobrowolski zdobywamy swoje miejsce w świecie, swoje niezaprzeczone prawo do życia.

Zanim opuściliśmy warsztat, stary pokazał mi jeszcze dwa podłużne ostre noże przymocowane do wału heblarki.

— Z czego? — zapytałem.

— Ze starej piły tartacznej... A jeden taki nóż kosztuje 75 zł. Tak panie, trzeba ruszać głową. Ośrodki maszynowe na razie przynoszą deficyt, a nasz Ośrodek nie jest deficytowy. I nie będzie! Nie!...

Przywieziono dwie tony zboża — przywiózł je stały, zakontraktowany, woźnica magazynowy, Kociołek, chłop niski, pękaty i jędrny jak pędrak, a mocny jak byk. Poznosił 75-kilowe wory do prowizorycznego magazynu, gdzie stał śrutownik i motor — i wkrótce zabrałem się do swojej roboty. Nie była ciężka, co kwadrans wsypywałem do śrutownika wiadro żyta, co pół godziny odstawiałem od maszyny pełny worek śruty — miałem sporo wolnego czasu, by się przyglądać widniejącym ponad dachami górskim szczytom i chmurom, które wiatr rozrywał w wełniste strzępy i kłaki. Bezlistne drzewa — olbrzymy parku zdawały się stękać w wielkich rozkołysach, wicher tam huczał ponuro, jakby pogłosem dalekiej eskadry bombowców.

Henryk Worcell

*) „Na rampie", Wieś 52, 1951 r.

FRANCISZEK PUDŁOWSKI JAN ADAMOWSKI

W ESSEN — TOWARZYSZ «OBCY»

KIEDY latem 1943 r. wysypaliśmy się z bydlęcych wagonów na jednym z dworców w Essen, przywiezieni „na roboty" przez okupanta z różnych krańców Polski, pierwsze, co rzuciło mi się w oczy były to ruiny. Rzędy ulic w rumowiskach. Na rumowiskach poskręcane konstrukcje belek żelaznych, walające się resztki przedmiotów codziennego użycia, jakieś umywalki, łóżka żelazne, szafki i kasy pancerne.

Później, kiedy wieziono nas w odkrytych ciężarówkach ulicami miasta zadziwił mnie widziany z perspektywy gruzów las kominów strzelających w niebo. Wokoło, gdziem tylko się nie obejrzał, bliżej i dalej kominy i kominy. Dym ścielący się z nich nisko, tworzył czarne chmury, opadające na miasto. Patrzyłem i dziwiłem się. Fabryczne miasto widziałem po raz pierwszy. Ktoś z naszych zawołał. — Patrzcie! Dymią prawie wszystkie kominy.

Istotnie, dymiły prawie wszystkie. Nikt się jednak wtedy nad tym nie zastanawiał. Nikomu z nas nie przyszło jeszcze na myśl, że bomby sojuszników mogłyby świadomie oszczędzać fabryki i zakłady przemysłowe w Essen.

Mijaliśmy centrum miasta. Teraz ciągnęły się ogródki podmiejskie. Na mikroskopijnych wprost działkach ziemi stały tu gęsto altanki i budki, wokół których zieleniły się grządki warzyw. Tu już gruzów nie było. Ucichł i hałas miastowy. Z ogródków pachniało kapustą i szpinakiem.

*

Baraki mieliśmy o jakie dobre półtora kilometra od przedmieścia Essen, zwanego Kupferdrech, a dużego tak, jak moje rodzinne Lipno. Położone były u podnóża góry w małym brzozowym lasku, rosnącym na kamienistym gruncie. Okolica była piękna. W dole zaraz za laskiem świeciło lustro jeziora. To rzeka Ruhr tworzyła tu naturalne jezioro, rozciągając je hen od Kupferdrech aż po Essen-Werden. Górzyste zbocza wokół jeziora porośnięte były świerkami i innym drzewem, przeważnie iglastym. Spośród zieleni drzew przebijały tylko tu i ówdzie rozrzucone prawie nad samą wodą wieże wyciągowe kopalń węgla.

Stąd do Essen prowadziły trzy drogi. Jedna biegnąca brzegiem jeziora w prawo, przez Kupferdrech, druga w lewo, przez Werden. Trzecia najbliższa przez jezioro małym stateczkiem, a potem z drugiej strony autobusem. Tą trzecią drogą jeździłem i ja z innymi do pracy.

W międzyczasie sojusznicy stale bombardowali zarówno Essen, jak i Bochm, Gelsenkirchen, Dnisburg, Oberchanssen, Bielefeld i inne okoliczne miasta.

*

Na „sztubie" było nas dwunastu. Rekrutowaliśmy się ze wszystkich warstw społecznych. Był tu i nauczyciel i urzędnik gminny, jakiś rzemieślnik, chłop i robotnik. Antoni Błaszczuk był starym robotnikiem. Pochodził z Poznańskiego. Do Zagłębia Ruhry trafił już dwukrotnie. Raz był tu jeszcze w 1914 r. Znał tu wszystko. Miał nawet znajomych Niemców z „tamtej wojny" w Gelsenkirchen. Czasami w wolną od pracy niedzielę wyjeżdżał do nich na cały dzień. Antoni umiał świetnie po niemiecku. Pamiętam, jak wieczorami po fajrancie, czytywał nam gazetę niemiecką i tłumaczył sytuację na froncie. Mówił wtedy o Związku Radzieckim, o zwycięskich walkach Armii Radzieckiej. Ta gazeta — mawiał — sama nie wiele powie, ale widać z niej, że na całej linii frontu trwa odwrót. (Front wtedy przebiegał gdzieś pod Wielkimi Łukami). Rosja Radziecka jest niezwyciężona — kończył zawsze kiedy mówił o froncie wschodnim. Przysłuchiwałem się jak prowadził dyskusje z nauczycielem i urzędnikiem. Nieraz się spierali. Antoni mówił o Rosji Radzieckiej, oni o Ameryce i Anglii. Szczególnie były urzędnik — nazywał się Sikorski — spierał się. Cóż tam bolszewicy — mawiał. Przecież nie od nich czekamy wyzwolenia.

— A właśnie, że oni wyzwolą Europę od Hitlera — mówił twardo Antoni. Słuchałem co mówił Antoni.

— Cały kapitalistyczny świat pchnął Hitlera na ZSRR a ten, choć osamotniony w walce, żyje i zwycięża. Popatrzcie na Essen. Tyle lat go bombardują, a u Kruppa wszystkie kominy, jak dymiły, tak dymią. Czyżby alianci byli ślepi? Nie! Dopóki można niech idą armaty na ostfront, tak oni politykują, a potem — jak Hitlera nie stanie, to Krupp przyda się do czego innego. Przecież na to wygląda. A że rujnuje się kamienice? Czyż nie trzeba oszukiwać opinii świata?

Ze zdumieniem słuchaliśmy Antoniego. Ale dziwna prawda potwierdzała się. Przecież w Essen ani na chwilę nie przerwano pracy w fabrykach. Jak na urągowisko pomimo bombardowania, kominy w stalowniach wciąż stały pióropusze dymu.

Wiedziałem, że Antoni ma rację, bo za jego słowami szły fakty. Zacząłem sam się zastanawiać nad tym. Dziś, w okresie remilitaryzacji Niemiec widzę, jak przypuszczenia Antoniego potwierdziły się na całej linii. Rozwiały się też i moje wątpliwości. Wiem, że Anglosasi, oszczędzając Kruppa, już wtedy myśleli o organizowaniu trzeciej wojny światowej.

Franciszek Pudłowski

SCIGALI go żardarmi hitlerowscy, urządzali nań zasadzki własowcy, śledził go przebrany za AL-owca szpieg hitlerowski, Kurtz. AK-owcy z Dąbrowy Zielonej wyznaczyli 20 tys. zł. nagrody za jego głowę. Z Sosnowca przyjechał specjalny pluton egzekucyjny AK. 22-osobowa banda NSZ z Gidla pod dowództwem Kosmali kontrolowała wszystkie furmanki, jadące z Radomska do Dąbrowy Zielonej, czatowali nań NSZ-owcy Warszyca, zaczaił się na drodze do zakładów metalurgicznych płatny zbir londyński — Basiński, podłożono mu pod drzwi mieszkania ładunek „schprengstoff-u" (materiał wybuchowy do rozrywania czołgów).

Na dźwięk jego nazwiska pienili się z wściekłości gestapowcy, zgrzytali zębami obszarnicy: Biedrzycki, Geyer, Biczyński, fabrykant Szteinhagen, AK-owcy z Dąbrowy Zielonej — Czarnota i Sosnecki, NSZ-owiec Surlej ze swoją kompanią i wszystkie ciemne siły, sprzysiężone z imperializmem niemieckim i anglo-amerykańskim przeciw narodowi polskiemu.

„Obcy" był dla nich niewidzialnym a groźnym wrogiem. Za to dla wszystkich ludzi pracy, dla chłopów z Ulesia, Koniecpola, Sekurska, Olbrachcic i wielu gromad powiatu częstochowskiego i radomszczańskiego, „Obcy" był najserdeczniejszym, najbliższym towarzyszem i przyjacielem. Zwierzano mu się ze wszystkich trosk i kłopotów okupacyjnych, przed nim, jak przed najdroższym bratem, otwierano serca, nabrzmiałe wielowiekowym bólem i krzywdą. Na jego zew szli członkowie partyzanckich oddziałów AL walczyć z okupantem hitlerowskim i z agenturą londyńską w kraju.

Kim był ów umiłowany przez lud, żarliwy bojownik o wyzwolenie społeczne i narodowe? Kto go nauczył i wychowywał w duchu rewolucyjnej walki i hartu na żołnierza socjalizmu? Mówią o tym najlepiej dzieje jego życia i walki...

*

FRANCISZEK Cebo („Obcy") — syn górnika kopalni „Renard" w Sosnowcu, nie mógł znaleźć pracy w Polsce przedwojennej. Kiedy głód ściskał żołądek, chodził z bratem na „bieda-szyby".

Broniąc interesów zagranicznych monopolistów, rząd Piłsudskiego wysyłał policję na „bieda-szyby". Burzyła ona szybiki petardami i pałkami gumowymi, rozpędzała i masakrowała bezrobotnych górników.

W r. 1925 wstąpił do KPP. W tym roku, w którym Izba Lordów Wielkiej Brytanii zatwierdziła milionową pożyczkę dla Piłsudskiego w celu zaprowadzenia przez niego w Polsce reżimu „silnej ręki"...

Lata następne aż do wojny upłynęły Cebie w walce typowej dla KPP-owca: demonstracje i masówki, wiece robotnicze i strajki, agitacja ustna i walki uliczne.

Kiedy wybuchła wojna Cebo liczył już blisko 50 lat.

Wrócił w rodzinne z czasów dziadka strony, w radomszczański powiat. Zamieszkał w Raczkowicach i pracował, jako cieśla w pobliskim dworze, u dziedzica Geyera. Ale choć sterany i starzejący się już człowiek czyż mógł ten górnik z „bieda-szybów" zapomnieć, kim był, o co walczył i jak walczył? Czyż mógł zapomnieć swego pasierba, Alfreda Popiołka, który poległ w Hiszpanii, walcząc u boku gen. Waltera? Czyż mógł zapomnieć o swojej „nielegalnej robocie", o pierwszych jej formach „tapetowania" murów kopalni i pałaców fabrykantów wielkimi napisami, które piętnowały kapitalistów i mobilizowały klasę robotniczą?

*

MAŁY domek Ceby w Raczkowicach nie różnił się od innych biedniackich chałup wiejskich.

Wydawało się, że wszystko tu biegnie podobnym trybem. Rano żona Ceby, Apolonia, krzątała się wokół obejścia, a Franciszek, którego dawno tu nie widziano, rąbał szczapy, doprowadzał gospodarstwo do porządku. Nikt z sąsiadów nie mógł przypuszczać, że pusty zazwyczaj dom stał się ośrodkiem życia rewolucyjnego w powiecie radomszczańskim. Późną nocą 1 stycznia 1944 roku odbyła się tu konferencja partyjna, na której utworzono rejonowy sztab AL. Oficerem organizacyjnym wybrano Franciszka Cebę („Obcy"). Jego wygląd starszego i niepozornego człowieka nie zwracał niczyjej uwagi.

Działalność AL-owców obejmowała dwa rejony: Dąbrowa Zielona, Maluszyn, Koniecpol w pow. radomszczańskim oraz Przyrów i Janów w pow. częstochowskim. W myśl poleceń tow. „Juliana" (Aleksander Burski — obecnie wiceprzewodniczący CRZZ) powołano „Obcego" na stanowisko sekretarza komitetu rejonowego PPR.

W przebraniu handlarza wiejskiego wędrował „Obcy" od wioski do wioski. Nawiązywał kontakty, agitował najlepszych ludzi do partii, dostarczał literaturę partyjną, organizował koła PPR, werbował partyzantów do AL. W Maluszynie, w mieszkaniu tow. Skiby, o mało nie wpadł w ręce hitlerowców. Odbywało się właśnie zebranie partyjne, gdy na gromadzkiej drodze zaturkotał samochód ciężarowy, naładowany żandarmerią hitlerowską. Pięciu towarzyszy wyskoczyło oknem. Pozostał jedynie „Obcy", który wsunąwszy do worka z mąką protokół posiedzenia i gazety partyjne z najuprzejmiejszą w świecie miną czynił „gościom" honory domu.

Cebo potrafił zmobilizować do walki gromady swego rejonu. Dniem chłopi pracowali w gospodarstwach, przygotowując się do orki wiosennej, lecz ciemną nocą ożywały polany i lasy, rozlegały się echa metalicznych dźwięków. Gdzieś tam na polanie Soborzyc - Cudków lotnicy radzieccy zrzucili ładunek. Na „Juliance" wykoleił się pociąg, wiozący amunicję na wschodni front. W Dąbrowie Zielonej, Olbrachcicach, Sekursku i w innych dworach fornale stawali się hardzi i „zuchwali" wobec jaśnie panów. Dziedzic Biedrzycki z Sekurska, stary przedwojenny endek, dowiedział się jakimś „psim swędem" o utworzeniu komitetów folwarcznych.

— Nie podnoście głowy, chamy, bo je wam skręcimy — zagroził.

Na wsiach zaroiło się od hitlerowców. Pojawiły się też bandy NSZ i AK. Dniem i nocą ich członkowie myszkowali w lasach i chałupach chłopskich. Hitlerowcy imali się różnych sposobów, by ująć AL-owców.

W grupie „Krupka", odbierającej zrzuty radzieckie pojawił się nowy „partyzant". Mówił, że jest Rosjaninem i uciekł z niewoli niemieckiej. Lecz bystre oczy „Obcego" dostrzegły nazbyt wypielęgnowane ręce „jeńca" hitlerowskiego.

Podzielił się obserwacjami z majorem „Górą". Po zaaresztowaniu „jeńca" okazało się, że miał on na ramieniu wytatuowany symbol hitlerowski. Gestapowski szpieg został skazany na karę śmierci.

Nie mogąc się doczekać powrotu szpiega, hitlerowcy skoncentrowali większą ilość wojsk oraz lotnictwa i przystąpili do pacyfikacji oddziałów partyzanckich w Polichnie, gdzie mieścił się batalion AL majora „Góry". W kilkugodzinnej walce hitlerowcy stracili ponad 200 żołnierzy.

Pragnąc za wszelką cenę rozbić sztab AL, hitlerowcy zastosowali nowy chwyt.

W połowie 1944 roku pojawiła się w lasach cielętnickich grupa dobrze uzbrojonych partyzantów pod dowództwem rzekomego uciekiniera z obozu, Czecha Kurtza. Grupa ta pomagała innym oddziałom AL w akcjach bojowych. Trzymała się jednak stale na uboczu. Oficer organizacyjny „Obcy", analizując wyniki ostatnich akcji, stwierdził nienotowane dotychczas straty AL-owców. Postanowił wziąć oddział Kurtza pod obserwację. Podczas nieobecności tego ostatniego zbadano jego bagaż. Znaleziono w nim mundur żandarma hitlerowskiego oraz prawdziwe dokumenty Kurtza. Wyrokiem Sądu Wojskowego AL, rozstrzelano podłą gadzinę hitlerowską.

Gdy pod naporem miażdżącej siły Armii Czerwonej wycofywały się wojska hitlerowskie na zachód, w ślad za nimi pomykały liczne bandy NSZ. Zamiast walczyć z hitlerowcami, NSZ-owcy mordowali działaczy ludowych i komunistycznych, aresztowali sympatyków AL. W tej zbrodniczej działalności pomagali im miejscowi obszarnicy. Zamordowanych AL-owców bandyci zakopywali na polnych drogach dla zatarcia śladów. Na polecenie tow. „Obcego" partyzanci zaaresztowali pewnej nocy wszystkich obszarników, trzymając ich w charakterze zakładników. NSZ-owcy „zmiękli". Przyrzekli zwolnić uwięzionych chłopów, pod warunkiem wypuszczenia na wolność obszarników Biedrzyckiego i jego zięcia, Biczyńskiego. Okazało się, że obaj jaśnie panowie kierowali miejscową bandą NSZ-u...

*

POLSKA Partia Robotnicza, przygotowując się do objęcia władzy, zaleciła przeprowadzić jeszcze w okresie okupacji wybory rad gminnych, sołtysów, komitetów folwarcznych i dworskich oraz komendantów M. O. Z ramienia partii akcję tę przeprowadził sekretarz rejonowy tow. „Obcy". A kiedy 15 stycznia 1945 roku Armia Czerwona wyzwoliła ziemię radomszczańską, „Obcy" otrzymał urzędowe pismo, upoważniające go do przejęcia i ochrony majątków w myśl zarządzeń Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej Polski: — „Wzywa się wszystkich obywateli do respektowania pełnomocnika rządu oraz przedstawiciela PPR, tow „Obcego" — Ceby".

Nie dopuścimy, by powtórzył się 18-ty rok — oświadczył „Obcy", przystępując wraz z komitetami dworskimi do wywłaszczenia obszarników.

Walka, która zdawało się, została zakończona wraz z wyzwoleniem Polski, rozgorzała teraz nowym płomieniem. Wywłaszczonym obszarnikom przyszły w sukurs bandy NSZ i AK. Rozpoczęły one polowanie na „Obcego". 30 listopada 1945 r. banda „Warszyca" dokonała zbrojnego napadu na jego dom, lecz mimo usilnych poszukiwań „Obcy" pozostał nieuchwytny. Miejscowi AK-owcy z Dąbrowy Zielonej, Jan Czarnota i Sosnecki, broniąc majątku obszarników, wyznaczyli 20 tys. złotych nagrody temu, kto zabije „Obcego". Przybyły z Sosnowca pluton egzekucyjny AK wdarł się do mieszkania Ceby, lecz właśnie w tym czasie „Obcy" był na posiedzeniu Komitetu Gminnego PPR. W dni Referendum bandyci rzucili granat pod łóżko „Obcego", ostrzeliwali jego mieszkanie. Bandyci byli pewni, że znienawidzony działacz zginął, lecz „Obcy", jako pełnomocnik Referendum, odjechał właśnie z głosami do Radomska. Nie zrezygnowali rodzimi faszyści z dalszych prób uchwycenia „Obcego", ale za każdym razem natykali się na nieprzewidziane przeszkody, spowodowane ostrożnością dzielnego bojownika rewolucji. Nie „pomogła" nawet bomba „schpreng - stoff-u", podłożona pod mieszkanie. Czujne oko „Obcego" dostrzegło niebezpieczny ładunek

Umocnienie się władzy ludowej oraz likwidacja band NSZ-owskich w powiecie radomszczańskim zakończyła ten najniebezpieczniejszy okres w życiu „Obcego".

Skromny, cichy człowiek, który całe swe życie poświęcił sprawie robotniczej walcząc nieustannie o władzę ludu, pracuje dziś na swej działce ogrodowej, otrzymanej z Reformy Rolnej. Górnik Franciszek Cebo liczy już 60 lat.

— Jeszcze powrócę do pracy partyjnej — oświadcza — walka nie jest skończona. Muszę tylko nabrać nowych sił, by dotrzymać kroku młodszym...

Jan Adamowski

WŁADYSŁAW LESZCZYŃSKI

«MYŚL FILOZOFICZNA»

„...teoria staje się bezprzedmiotowa, jeżeli nie jest związana z rewolucyjną praktyką... Ale teoria może się stać olbrzymią siłą ruchu robotniczego, jeżeli kształtuje się w nierozerwalnym związku z rewolucyjną praktyką, gdyż ona i tylko ona może dać ruchowi pewność, siłę orientacji i zrozumienie wewnętrznego związku otaczających wydarzeń, gdyż ona i tylko ona może dopomóc praktyce do zrozumienia nie tylko tego, jak i w jakim kierunku odbywa się ruch klas w teraźniejszości, lecz również tego, jak i w jakim kierunku musi się on odbywać w najbliższej przyszłości".

STALIN

POSTULAT aktywności w stosunku do życia społecznego i przyrody może więc spełnić i spełnia filozofia marksistowska o tyle, o ile śmiało i wytrwale nadąża w swych teoretycznych uogólnieniach za narastającym materiałem nowych faktów, wyrastających z gleby gospodarczo - społecznej w procesie historycznego rozwoju. Z tym stanem rzeczy musi się liczyć filozofia marksizmu we wszystkich krajach i czasach, nie tylko w kraju zwycięskiego już socjalizmu, lecz również w krajach demokracji ludowych, których rozwój gospodarczo-społeczny dostarcza szczególnie obfitego a zarazem, w określonym sensie, specyficznego materiału z zakresu zjawisk gospodarczych, społecznych, politycznych, kulturalnych i inn.

Dla filozofii marksistowskiej, filozofii o niezmiennie rewolucyjnej postawie wobec rzeczywistości, niejako ex definitione, co stanowi warunek jej egzystencji właśnie w charakterze *marksistowskiej* filozofii — wynika konieczność uogólniania materiału faktycznego i służenia rewolucyjnej praktyce klasy robotniczej. Ponieważ zaś, jak mówi Lenin „wszystkie narody dojdą do socjalizmu, to jest nieuchronne, ale wszystkie one dojdą niezupełnie jednakowo, każdy wniesie swą specyfikę w tę, czy inną formę demokracji, w tę lub inną odmianę dyktatury proletariatu, w to lub inne tempo socjalistycznego przekształcenia różnych stron życia społecznego" — przeto przed filozofią marksistowską poszczególnych krajów demokracji ludowej a więc i Polski stoi zadanie śledzenia i formułowania teoretycznego tej specyfiki we wszystkich dziedzinach naszego życia.

Czy zadanie to realizowała marksistowska filozofia w Polsce demokratyczno - ludowej? Niewątpliwie tak, jakkolwiek realizacja ta nie była dziełem ośrodków uniwersyteckich, a przedstawicieli i kolektywu centralnych ośrodków Partii. W artykule prof. Hochfelda w „Myśli Filozoficznej" czytamy: „Plenarne posiedzenia KC PZPR, przemówienia i artykuły przywódców Partii, w szczególności zaś każde wystąpienie Prezydenta Bieruta — to twórcze podsumowywanie doświadczeń mas, to twórcza analiza osiągnięć, przebytej drogi, aktualnej sytuacji, perspektyw rozwojowych i zadań. Praca Partii i Rządu w naszym systemie demokracji ludowej — tak jak w każdym systemie dyktatury proletariatu — nie jest i nie może być wleczeniem się w ogonie żywiołowych procesów społecznych; jest natomiast i musi być kierownictwem, opartym na stałym uogólnianiu danych praktyki, formułowaniu tez teoretycznych i wysuwaniu zadań, w których realizacji teoria sprawdza się i zarazem wzbogaca".

Stąd płynie nakaz włączenia się filozofów polskich w tę pracę „kierowaną wskazaniami Partii, w której działaniu krystalizuje się ogromne doświadczenie przeszłości i teraźniejszości, doświadczenie mas, uogólnione przy pomocy marksistowsko-leninowskiej teorii i metody".

*

Ukazanie się w bieżącym roku *nowego centralnego* czasopisma filozoficznego w Polsce pod nazwą *„Myśl Filozoficzna"** w wyniku realizacji uchwał I Kongresu Nauki Polskiej, należy traktować, jak i przede wszystkim sam Kongres, za punkt zwrotny również w rozwoju filozofii polskiej. Wydaje się, że zarówno obrady Podsekcji Filozofii i Nauk Społecznych I Kongresu Nauki, jak i „Myśl Filozoficzna" — stanowią już świadectwo zmiany, polegające na rozpoczęciu bardziej widocznej ofensywy marksizmu - leninizmu przeciwko pozostałościom burżuazyjnych poglądów filozoficznych i socjologicznych w Polsce.

Pojawienie się „Myśli Filozoficznej" należy oceniać ze strony obozu marksistowskiego, jako formę dopełnienia i ukonsekwentnienia toczącej się u nas walki klasowej na odcinku ideologicznym. W „Myśli Filozoficznej" marksistowska filozofia znajduje swój organ, jakkolwiek stwierdzenie to nie oznacza ograniczenia łam pisma wyłącznie dla naukowców marksistów. Pod tym względem redakcja formułuje swoją postawę, powołując się na wskazówki Lenina, nakreślone niegdyś dla czasopisma „Pod sztandarem marksizmu": „...istnieją jeszcze— pisze Lenin — materialiści z obozu nie - komunistów i naszym bezwzględnym obowiązkiem jest przyciąganie do wspólnej z nami pracy wszystkich zwolenników konsekwentnego i wojującego materializmu w walce z reakcyjnymi prądami w dziedzinie filozofii... Nie mniej, jeśli nie bardziej ważny dla tej pracy, której wojujący materializm powinien dokonać, jest związek z reprezentantami współczesnych nauk przyrodniczych, którzy skłaniają się ku materializmowi i nie boją się bronić go i propagować, wbrew panującym w tak zwanych „kołach wykształconych" modnym odchyleniom filozoficznym w stronę idealizmu i sceptycyzmu".

Nie trzeba podkreślać, jak ważna jest w naszych warunkach walki o marksistowsko myślące kadry naukowe w każdej dziedzinie wiedzy — ta dyrektywa Lenina. Byłoby olbrzymim osiągnięciem pisma, szerokie i całkowite urzeczywistnienie tego postulatu.

W gąszcz współczesnej problematyki i zadań filozofii marksistowskiej w Polsce wprowadza czytelnika artykuł wstępny, naczelnego redaktora czasopisma, prof. Adama Schaffa „Zadania frontu filozoficznego w świetle uchwał I Kongresu Nauki Polskiej". Ponieważ zadania te są zadaniami długofalowymi, obliczonymi na wiele lat realizacji, a równocześnie są w pewnej mierze i zadaniami „Myśli Filozoficznej", jako centralnego organu filozofii w Polsce — warto je pokrótce zarysować.

„Naczelne zadanie", które się wysuwa przed nami—pisze prof. Schaff — ...to upowszechnienie filozofii marksistowskiej w masach i dalszy jej twórczy rozwój". Drogi upowszechnienia widzi Schaff w działalności pedagogicznej, wydawniczej, popularyzacyjnej a przede wszystkim w wydawaniu klasyków w języku polskim i zapoznawaniu mas z dorobkiem filozofów radzieckich.

Jeśli chodzi o program dalszego twórczego rozwoju filozofii marksistowskiej, to zawiera on „postulat opracowania nowych zagadnień oraz pogłębienia już znanych... Na szczególną uwagę zasługują jednak zagadnienia *metodologii nauk szczegółowych.* Tworząc konsekwentnie naukową podstawę ich rozwoju filozofia marksistowska wybitnie przyspieszy ich rozwój i przyczyni się tym samym do bardziej efektywnego podporządkowania przyrody człowiekowi". W zakresie materializmu historycznego czeka nas ogromnie ważne zadanie uogólniania prawidłowości naszej drogi do socjalizmu.

Zadanie drugie, dotyczące „wykrycia rodzimych korzeni historycznych filozofii marksistowskiej" realizuje się w trzech płaszczyznach. „Po pierwsze należy rozwinąć... ożywioną działalność wydawniczą i dać czytelnikowi teksty polskich filozofów i myślicieli społecznych, które obecnie są niedostępne, przede wszystkim, gdy idzie o prace starsze (XIV w.), a w wielu wypadkach nawet, gdy idzie o myślicieli wieku XVIII i XIX". Wykona to powołana do życia Biblioteka Klasyków Filozofii.

Jako drugi punkt wymienia Schaff konieczność monograficznego opracowania poszczególnych kierunków i myślicieli, jako trzeci zadanie opracowania szczegółowej historii filozofii i myśli społecznej w Polsce oraz szczegółowej bibliografii tej dziedziny. Jako odrębne zadanie w tej gałęzi wysuwa opracowanie historii filozofii marksistowskiej w Polsce.

Ostatnim głównym zadaniem frontu filozoficznego byłaby walka z tymi kierunkami filozofii czy socjologii polskiej, które hamują rozwój myśli naukowej w Polsce. Tutaj zadaniem byłoby rozbicie trzech głównych kierunków międzywojennej, uniwersyteckiej filozofii burżuazyjnej w Polsce, których wpływy zaznaczają się i obecnie: neotomizmu, fenomenologii oraz szkoły lwowsko - warszawskiej o ścisłych koneksjach z neopozytywizmem. W socjologii byłaby to walka przede wszystkim z idealizmem subiektywnym Znanieckiego.

*

Zapoczątkowaniem oczyszczania gruntu pod zwycięstwo teorii i metodologii socjologii marksistowskiej w Polsce są umieszczone w 1 — 2 numerze „Myśli Filozoficznej" dwa artykuły dyskusyjne, atakujące pozycje socjologii burżuazyjnej, J. Hochfelda i J. Chałasińskiego. Z nich, artykuł Hochfelda stanowi próbę całościowego zarysu stosunku materializmu historycznego do socjologii burżuazyjnej, artykuł zaś Chałasińskiego, jest w istocie rzeczy próbą uczciwej samokrytyki tego znanego socjologa polskiego i jako taki stanowi materiał bardzo ciekawy. Chałasiński w artykule tym daje krytykę swojej przedwojennej a zarazem również w początkach powojennej postawy naukowej, rozpatrując ją zasadniczo na przykładzie pracy *„Młode Pokolenie Chłopów"*. Pracę tę, która przed wojną wywołała wielkie zainteresowanie, a której ideologiczny charakter antyrewolucyjny koła reakcyjne spod znaku Piłsudskiego szybko rozeznały i pozytywnie oceniły — autor, uznający dzisiaj słuszność naukową metody materializmu historycznego w badaniach społecznych, ocenia jako chybioną i fałszywą metodologicznie, w konsekwencji wypełnioną fałszującymi rzeczywistość wnioskami. Metoda i konstrukcje pojęciowe tej pracy wyrosły z subiektywnego idealizmu (Znaniecki), który z kolei był odpowiedzią na zapotrzebowanie społeczne coraz bardziej faszyzującej burżuazji polskiej— toteż nic dziwnego, że teoria i metoda, jakie legły u podstaw tej pracy, doprowadziły do reakcyjnych wniosków społecznych i politycznych. Generalnym wnioskiem odczytanym przez burżuazję z pracy Chałasińskiego było: „Czy młodzież jest rewolucyjna? Z omawianych pamiętników tego nie widać. Przeciwnie — występuje tam idea budowy siły w sposób ewolucyjny, przede wszystkim poprzez oświatę i podnoszenie bytu materialnego. Nie natrafia się natomiast na skłonności do zrywów obliczonych na krótką metę — choć nie brak objawów zniecierpliwienia". (Polityka, 30.IV.1939 r.).

Wypowiedź Chałasińskiego jest niewątpliwie cennym przykładem samokrytyki naukowca, który choć nie z lekkim sercem rozprawia się z poważną częścią swego dorobku naukowego — potwierdzając obiektywnie burżuazyjną treść omawianej pracy. „Młode Pokolenie Chłopów" — pisze Chałasiński — „traktowało ruch młodochłopski, jako samoistny, izolowany od rewolucyjnego ruchu klasy robotniczej, czynnik emancypacji społecznej wsi polskiej. Ale taka rzekoma samoistność ruchu chłopskiego w warunkach kapitalistycznych, takie wyrywanie chłopstwa z sojuszu robotniczo - chłopskiego pod przywództwem proletariatu — to oddawanie mas chłopskich pod komendę wiejskiego bogacza, wiejskiego kapitalisty, kułaka".

„Podstawowy rys... metodologii *Młodego Pokolenia Chłopów* polega na eliminacji rewolucji proletariackiej, jako istotnego, konstruktywnego elementu procesu społeczno-historycznego. *Autor napisał Młode Pokolenie Chłopów w oparciu o pewną odmianę idealistycznej metody dlatego, że ta metoda miała ideologiczny charakter antyrewolucyjny".*

I wreszcie: „...elementarny postulat dotyczący samego postawienia problemu nie został spełniony w *Młodym Pokoleniu Chłopów. Problematyka tego studium została oderwana od konkretnego ekonomiczno - społecznego kontekstu określonej historycznej formacji i potraktowana w taki sposób, jak gdyby procesy przeobrażania wsi polskiej kształtowały się w płaszczyźnie psychologicznej niezależnie od prawidłowości rozwoju kapitalizmu"* (wszystkie podkreślenia Chałasińskiego).

Oprócz prac wymienionych, omawiany numer *Myśli Filozoficznej* zawiera jeszcze m. i. artykuły: Ajdukiewicza o potrzebach logiki w Polsce, Kotarbińskiego o Bibliotece Klasyków Filozofii, Martela o sojuszu robotniczo - chłopskim, radzieckiego uczonego, znanego w Polsce prof. G. Wasieckiego o Hercenie, B. Baczki o poglądach filozoficznych i społeczno-politycznych Kotarbińskiego, Manelego o imperialistycznej ideologii Watykanu oraz Lewickiej o fonemie i Zonna o kosmogonii radzieckiej. Numer zamyka dział krytyki i bibliografii.

Władysław Leszczyński

*) „Myśl Filozoficzna", nr. 1 — 2, 1951 r.

STANISŁAW NĘDZA-KUBINIEC

PIEŚŃ O KOSTCE NAPIERSKIM

Parę słów od autora

JAK powiada Juliusz Zborowski, kustosz muzeum tatrzańskiego w Zakopanem, żaden z pisarzy polskich mających jakąkolwiek twórczą styczność z Podhalem nie ominął w swej tematyce ani „Janosika" ani „Kostki-Napierskiego". Tematyka ta bardzo popularna i zrośnięta z regionem, w równej mierze zapłodniła twórczość poetycką, dramatyczną i prozatorską. Wymieńmy najsławniejszych jak Kasprowicz (dramat o Kostce-Napierskim), Kazimierz Przerwa-Tetmajer (Legenda Tatr, Ballady o Janosiku), Władysław Orkan (Kostka-Napierski — powieść). Z późniejszych zasługuje na wspomnienie Feliks Gwiżdż. Obecnie tematyką tą zajęli się w swojej artystycznej twórczości Stanisław Skoneczny i podpisany.

Moja „Pieśń o Kostce-Napierskim" powstała w ubiegłym roku, to jest w czasie, gdy nasze społeczeństwo przypomniało sobie o powstaniach ludu podhalańskiego w XVII w. przeciw uciskowi szlacheckiemu i obchodziło 300-lecie jednego z tych powstań, pod wodzą Kostki Napierskiego, który zginął na palu w Krakowie. Z powodu tej rocznicy pojawiła się w prasie polskiej spora ilość publikacji, traktujących o buntach chłopskich na Podhalu. Historia ludu podhalańskiego i jego bohaterskich zrywów została w ten sposób wpleciona w ogólną historię narodu.

Moim pierwszym zamierzeniem artystycznym było napisanie paruset wierszowego poematu, poświęconego rocznicy powstania. Fragmenty takiego poematu były drukowane na łamach „Wsi" w styczniu ub.r. Jednak temat, wydawałoby się tak często obrabiany, poniósł mnie dalej. Powstał duży poemat o sześciu pieśniach i blisko 5 tysiącach, równego, upodobnionego do ludowej pieśni, czternastozgłoskowego wiersza. Głównymi bohaterami poematu są: Kostka-Napierski, marzący o tronie na krakowskim zamku, lecz jednocześnie także o daniu „ślebody" ludowi, romantyczny, wyjęty z legendy, naturalny syn królewski; jakby z granitu wykuta postać nieustraszonego obrońcy praw chłopskich Stanisława Łętowskiego, zwanego pospolicie Marszałkiem, bohatera poprzednich walk z grabią Komorowskim oraz Marcina Radockiego, nauczyciela czyli rektora wiejskiej szkółki w Pcimiu, gorącego orędownika i przyjaciela ludu. Prócz nich są w poemacie zwyczajni chłopi, biedni i gnębieni, zawsze na przednówku głodni i dlatego gotowi bić się o swoją wolność. Jako konieczny wtręt do fabuły wprowadziłem osoby Sawki i Czepca, znanych harnasiów zbójnickich, których ratuje Kostka od szubienicznej śmierci. Sąd magdeburskiej ławy królewskiego miasta Nowego Targu jest koniecznym akcesorium ówczesnych stosunków. Jedną z głównych postaci jest także pleban nowotarski, chytry i dbający o swoje dobro ksiądz Bytomski, dla którego ustrój niewolniczo-feudalny jest alfą i omegą społecznego porządku. Walczy też z buntem wszystkimi środkami, jakie posiada, a ma ich sporo. Oprócz nadprzyrodzonych, którymi straszy swoje ciemne owieczki, posiada wpływy u kościelnych sług, niektórych sołtysów itd., donosi o mającym nastąpić buncie biskupowi, bierze wreszcie dość znaczny udział w oblężeniu Czorsztyna. Reszta osób jak biskup Gębicki, starosta dobczycki Jordan, pułkownik Jarocki, czy nawet poczciwy podstarości Zdanowski są osobami historycznymi i obracają się w ramach historii.

We wszystkich strofach poematu dałem nacisk na wiejący mocny wiatr od wschodu, na potężne powstanie kozacko-chłopskie pod przewodem Bohdana Chmielnickiego, pod którego to wiatru tchnieniem wybuchło także opisane przeze mnie powstanie. Z dziejowych burz, z wiekowych zmagań prostego ludu o prawo i ślebodę, z jego głodnych lat i męczeńskiego trudu przyszło nareszcie wybawienie i pełne ludowładztwo Nowej Polski, które dziś obleka się w najwspanialszą w historii naszej księgę praw — Konstytucję Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Aby wyrozumieć te olbrzymie osiągnięcia należało pogrzebać w historii. „Kto jedzie naprzód, musi się oglądać na tylne koła" — powiedział kiedyś stary Sabała. Dlatego i ja oglądając się w tył zobaczyłem dla swojego poematu nieszczęśliwy, ale bohaterski dla górali wiek XVII. Intencja więc mojego zamierzenia artystycznego była czysta. Reszta należy do tych, którym oddaję do rąk poemat. Ci, co będą czytać, mają prawo sądu. — Mogę jednak stwierdzić, że dotychczasowa moja twórczość, chociaż skromna i wąskim potokiem góralskiego regionu płynąca, jednak przyjęła się w tym regionie. Pełno jej w świetlicach ludowych. Oprócz tego utwory moje są śpiewane i recytowane przez zespoły artystyczne, organizowane dla wczasów pracowniczych. To zachęca mnie do dalszej pracy i chyba z okresu buntów chłopskich przed końcem br. nie wyjdę. Zacząłem dalszy ciąg a raczej drugi tom pieśni o Kostce-Napierskim p.t. „Jak było dawniej" oraz kończę dramat dla świetlic o Łętowskim p.t. „O prawo". Tyle.

Stanisław Nędza-Kubiniec

PIEŚŃ SZÓSTA

Uciekał pan Jordan szybko spod czorsztyńskich murów,
lecz szybciej się wieść rozbiegła na Podhalu gwarą.
Wieją pany, grzmią podkowy — na dół od Krośnicy,
huczą w górach chłopskie śpiewy — w całej okolicy.
Zmyka Jordan, ogląda się — cwałem do Krościenka,
śpiew chłopski się poniósł echem — upadł promień słonka,
Zaczął czerwiec w górach lato — kwitną grzędy bobu,
przednówkiem się ćmi Podhale — wyje brzuch od głodu.
Baby z Bańskiej łażą grupą — po wysokiej miedzy,
zbierający warmuż plony — o Czorsztynie radzą.
Cichcem w szepcie ugwarzają — nie trzeba się chwalić,
ale pono nasze chłopy panom się nie dali.
Porąbali, posiekali na drobne ich głowy,
utrzymali w swoich rękach — zamoczek ciosowy.
Skoro panów precz wyżeną — na dobre się zmieni,
hej nie będą ludzie zdychać zaraz od jesieni.
Wygnać jasnych gnębicieli — co naszą krew chłepczą,
podniosą się głowy w górę i bary ulekczą.
Rozgorzał bunt na Podhalu — na całym Pogórzu,
rozgwarzyły się gromady — aż się z czupryn kurzy.
Ruszają się nad Dunajcem i nad Rabą rzeką,
poszły hyry o Napierskim — wzdłuż i wszerz daleko.
Poprzez Gorce od Podhala — aże do Wadowic,
że się chłopom na osłodę — objawił królewicz.
Że się z króla Władysława synaczek urodził,
który każe, by się w Polsce naród wyswobodził.
Kują w kuźniach kowalowie — kosy, ostre drągi,
idą czasy jakich dotąd nie pisały księgi...
Dowiedział się o porażce — Na Wawelu biskup,
zadumał się, z długiej brody — pęki włosów wyskubł.
Kopnął nogą aż daleko odpadł kerpiec złoty,
przestraszone kanoniki, w pięć ni w dziewięć plotą.
„Trzęsiecie się jak osiki — cóż mi to za rada,
zapalił się pożar w kraju — gasić go wypada.
I nie wodą go zalewać ale krwią czerwoną,
hej ojcowie kanonicy — radźcie za obroną.
Wytrząsajcie złoto z kiesek — trza kieszenią ruszyć,
przyjdą siumni chłopcy od Tatr — to wam je wypruszą.
Hej trzęsą się kanoniki przed groźnym biskupem,
Jak tu radzić, by się nie stać — buntowników łupem.
Rządź biskupie, tyś pasterzem a my trzódką bożą,
broń kościoła i ojczyzny gdy nam gromy grożą...
Rzucił biskup twardy rozkaz — grodom i starostom,
aby siły jakie mają gromadzili w miastach.
W Nowym Sączu i Tarnowie — Muszynie, Lubowli,
bunt poddanych groza boska — wszystkich kar są godni.
Śle umyślnych po zaciągi do bliskiego Śląska,
sami garną się zaciężni, kiedy kiesa ciężka.
Szybko idzie zawołanie nie minęła doba,
a już biskup znaczne siły — zbrojnych przysposobił
I staremu Jareckiemu dowództwo powierza,
wraz z rozkazem, by pod Czorsztyn jak najprędzej bieżał.
Ostrym mieczem, żeby ścinał — ciężką kroczył stopą,
by się buntu odniechciało — podhalańskim chłopom.
Był Jarecki starym wodzem. Z królem Władysławem,
udział w boju brał niejednym — miał dobrą zaprawę.
Że nie poszedł w Ukrainę — winą to starości,
ale teraz wziął dowództwo. Żołnierską powinność
chciał wypełnić. I jak wymaga statut wojskowy,
po żołniersku, szybko sprawnie — zajął się wyprawą.
Dudnią koła, dźwięczą działa — ścigłe lecą gońce,
wyruszyło wojsko w pochód — przed wychodem słońca.
A z Podhala nowe wieści przyszły od plebanów,
że się chłopska lić poruszy — w dzień świętego Jana.
Zanim chłopskie morze ruszy i Kraków zaleje,
już Jarecki ruszył wojsko — więc pierwszy uśpieje
sądził biskup...
Wstało krwawo ranne słońce — lśnią Dunajca fale,
i czerni się tyn czorsztyński na wysokiej skale.
Nie doczekam się z Preszowa — prochu przywiezienia,
A bez prochu my w Czorsztynie — jakby we więzieniu,
Mówi Kostka do Matusa — chmurnym wzrokiem błądzi:
trzeba pochód ku Krakowie czemprędzej zarządzić.
Trzeba będzie nakierować na dół chłopskie fale,
my bez prochu dać możemy — głowy na tej skale.
Spora droga do Preszowa — mil będzie dwadzieścia,
może konie okulały. — Lecz zjawią się wreszcie.
Skrobie Matus się po głowie — mówiący te słowa,
kazby się tak zapodziali — az mi pęka głowa.
Staszel Pietr z Maruszyny — jest chłop jak się patrzy,
oczy w przodzie ma i w tyle. Tylko ich tu patrzeć.
Chyba gdyby. — Stary Matus splunął w dal przez zęby,
nie chcę żeby głupie słowo wypadło mi z gęby.
Uradzili więc niechcący — czekać jednym dzionkiem,
potem ruszyć jeszcze przed dniem — nim zabrzmi skowronkiem.
Nie krył Kostka się przed nikim, ze swoich zamiarów,
wypełniło się Podhale jednym wielkim gwarem.
Pisze Kostka uniwersał rektorowi z Pcimia,
należy się w imię boże rzecz całą zaczynać.
Powiedz wszystkim chłopom wokół — kończy się zła dola,
jedna będzie sprawiedliwość — jeden pokos w polu.
Już nie będzie nad narodem, jasnych i wielmożnych,
wszystkie krzydy i niedole dziś zapłacić można...
Pisze Kostka Zdanowskiemu wierszem rymowanym:
— „Żegnaj ojcze, Dobrodzieju — zostawiam cię samym.
Bóg mi zdarzył nad Jordanem znaczną wiktorią,
chciał mnię dobyć razem z zamkiem — ze sromu się myje.
Lwa groźnego tylko zbudził. — Chciał mnie jeść w śmietanie,
z kolegami. Sam nie starczył nawet na śniadanie.
Chciałbym ciebie mieć u siebie — lecz wiek twój sędziwy
nie pozwoli ci na podróż. W czasie nieszczęśliwym,
żyć nam przyszło. Gotuje się wielkie krwi przelanie,
ale z krwi tej nasza Polska w nowej chwale stanie.
Z wszystkich grzechów oczyszczona — jak lud prosty prosta,
wspominał mnie zawsze dobrze.
Lew z Sternberku Kostka...
Zajaśniało na Podhalu — jedną białą rosą,
wstali chłopi robić kośbę — żegnają się kosą.
Zajaśniało na Podhalu — srebrnych kos tysiące,
Hej wykoszą żywe chwasty i osty kolące.
Wyszli żeńcy na Podhale i czekają hasła,
zapali się watra w Gorcach — byle nie zagasła...
Grzmi Łętowski po dziedzinach: chłopi czas nie drzemać,
a chłopi się pobudzili — nie da się ich wstrzymać.
Hej marszałku prowadź-że nas, żytko się wykłosi,
nie będziemy o ślebodę jaśnie panków prosić.
I podskoczył sam Łętowski konno do Czorsztyna,
trzeba ruszyć pułkowniku nie czas chłopów trzymać.
Zegnał konia do pian białych — przyjechał o zmierzchu,
Przyjął Kostka go serdecznie — o nowiny pyta,
Wyruszymy chyba w pole — tylko zacznie świtać.
Wszystek naród już gotowy — od Tatr aż po Gorce,
kiedy fakły zapalimy rozwidni się w Polsce.
Grzmią z kazalnic plebanowie — krzyczą do wycudu,
lecz się serce nie zmieniło góralskiego ludu.
Rozbił święty Marek palec — szedł boso przez pole,
chłop roześmiał się szeroko — chce zmienić swą dole.
Hej ucieka święty Marek — na złość ludu płacze,
a lud pragnie tylko zmienić — swe życie sobacze.
Całe życie chodził boso i stąpał po grudzie,
wbrew świętościom jasnych panów — za ślebodą pójdzie.

STANISŁAW ORZEŁ

W TARNOBRZESKIM

NOWA Konstytucja interesuje wszystkich przede wszystkim dlatego, że jest żywą, to znaczy, że wyraża to, co naród wywalczył, co wypracował i zbudował. Cieszy — bo jest myślą i sercem obywateli, raduje — bo widzi się w niej nie tylko wczoraj i dzisiaj, ale i jutro.

Mnie jako nauczyciela zainteresowały przede wszystkim artykuły mówiące o kulturze, oświacie i nauce.

„Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do nauki" głosi art. 61. Prawo to zdobył naród już w roku 1944, kiedy to dosłownie w ogniu jeszcze bitewnym nauczyciel rozpoczynał naukę w szkole, pozbawionej najczęściej wszelkich sprzętów. Dumny jestem, że wówczas, jako sekretarz Inspektoratu Szkolnego wspólnie z ówczesnym inspektorem szkolnym J. Wierzbickim organizowałem szkolnictwo podstawowe na przyfrontowym pasie nadwiślańskim.

Rok szkolny 1944-45 w pow. tarnobrzeskim już wtedy rozpoczął redakcję 61 artykułu dzisiejszego projektu Konstytucji pracą w 66 szkołach podstawowych i dwóch średnich.

W bieżącym roku szkolnym szkoły podstawowe objęły przeszło 8600 dzieci w powiecie. Nie ma już obwodów bezszkolnych, nie ma dzieci poza szkołą, powiat zlikwidował u siebie analfabetyzm. Powszechność i bezpłatność zastrzeżone projektem Konstytucji, jako prawa obywatelskie są już w pełni realizowane. Stała rozbudowa szkolnictwa średniego ogólnokształcącego i zawodowego znalazła swój wyraz w niespotykanym przed wojną wzroście szkół średnich. W powiecie istnieją dwie szkoły średnie, ogólnokształcące stopnia licealnego w Tarnobrzegu i Rozwadowie, jedna szkoła zawodowa w Dębie, klasy ósme i dziewiąte w Gębowie, Technicum Handlowe i Technicum Metalowe dla ciężkiego przemysłu w Rozwadowie, zasadnicza szkoła Metalowa w Tarnobrzegu i Liceum Rolnicze w Dzikowie. Przed wojną nie było w całym powiecie ani jednej szkoły zawodowej. — Dzisiaj szkoły te obejmują razem przeszło 1700 młodzieży robotniczej i chłopskiej, biedniackiej i średniackiej. Ich poważna, jak na okręg rolniczy liczba świadczy o głębokich przemianach gospodarczych powiatu, który poszczycić się już może fabryką koronek w Skopaniu, czy Zakładami „Wisła" w Tarnobrzegu.

Kiedy jeszcze w roku 1949 trzeba było aż typować i nieomal siłą kierować część młodzieży z Liceum Ogólnokształcącego do średniej szkoły mechanicznej w Ropczycach, to w bieżącym roku szkolnym zdarzało się odwrotnie np. szkoła podstawowa w Chmielowie na 37 uczniów klasy siódmej tylko jednego przesłała do Liceum Ogólnokształcącego, a resztę skierowała do szkół zawodowych, **bo tego chcieli rodzice.**

Spokojnie patrzymy w jutro, gdyż projekt Konstytucji wyraźnie powiada w art. 61 punkt 2, że „Prawo do nauki zapewnia w coraz szerszym zakresie stała rozbudowa szkolnictwa średniego ogólnokształcącego i zawodowego". Nie zostaną dzieci bez szkoły z braku miejsca. Nie zostaną dzieci w domu wskutek niezamożności. Ten sam art. 61 mówi wyraźnie o stypendiach, bursach i internatach i innych formach pomocy materialnej dla dzieci robotników, pracujących chłopów i inteligencji.

W samym Tarnobrzegu, liczącym 3.000 mieszkańców są w tej chwili dwa internaty i jedna bursa. W samym tylko Liceum Ogólnokształcącym młodzież otrzymała w br. szkolnym 85 stypendiów na sumę 7020 złotych w porównaniu z 71 stypendium na sumę 5.400 zł. w roku ubiegłym.

Powiat ma już teraz własną inteligencję wyrosłą i wychowaną w nowych szkołach. Lekarz ob. M. wrócił po studiach do Tarnobrzegu. Inni po ukończeniu szkół średnich zajęli miejsca w biurach, sklepach GS-u, w punktach skupu i kontraktacji. Nie ma w Tarnobrzegu, a nawet w całym powiecie takiej placówki kulturalnej, społecznej czy gospodarczej, gdzieby nie pracowali synowie wsi. Siedem lat pracy oświatowej w powiecie dało wsi i miastu nową inteligencję. Jest młody nauczyciel zetempowiec Furmanik z Jeziorka, Scipień St. kierownik szkoł. kadr w PZG-ie, Serafin członek MRN w Tarnobrzegu, są inni członkowie Prez. PRN, GRN, pracownicy Banków, jak ob. Świerk, poczty itp.

Zrozumiała biedniacka i średniacka młodzież chłopska swoją rolę w doniosłych przemianach spółdzielczych wsi. Najlepiej charakteryzuje jej postawę sam dyrektor Liceum Rolniczego ob. Wciślik. „Liceum Rolnicze liczyło w roku 1945 zaledwie 19 uczniów i sztucznie utrzymywane było przy życiu. Młodzież wiejska omijała szkołę. Dziś 220 uczniów kształci się na przyszłych agronomów, inżynierów i techników. Z 276 absolwentów ok. 50-ciu studiuje weterynarię. Pozostali pracują już zawodowo. Prawie wszystkie stanowiska agronomów w POM-ach w województwie rzeszowskim zajmują b. wychowankowie Liceum Rolniczego w Dzikowie. Dyrektor Wciślik z dumą wylicza najbardziej wartościowych swoich uczniów.

St. Tybinka — zastępca kier. Wydziału Rolnego KW, Gleń Tadeusz — dyrektor zespołu PGR w Olsztynie, odznaczony złotym Krzyżem Zasługi. Zbożyl Roman — woj. inspektor trzody chlewnej w Przemyśle. Ciejka Mieczysław — okręgowy insp. chowu koni — Przemyśl. Madejski Zygmunt — instr. Kadr przy Pr. WRN w Kielcach. Ługan K. — kierownik kursu dla kierow. brygadzistów i księgowych spółdzielni rolniczych w Rzeszowie. Potem idzie cała litania pracowników w powiecie. Nic dziwnego, że Liceum Rolnicze w Dzikowie zostało w grudniu 1951 roku wyróżnione i przedstawione do nagrody państwowej, jako wzorowa szkoła rolnicza.

Stanisław Orzeł

JAN MARSZAŁEK

W ŁÓDZKIM

JEDNĄ z charakterystycznych cech projektu nowej Konstytucji w przeciwieństwie do Konstytucji burżuazyjnych jest to, że zawarte w niej normy prawne wypełnione są treścią społeczną, że znajduje w nich pełne urzeczywistnienie praktyka nowego życia. Dla przykładu sięgnę do artykułu 61 projektu nowej Konstytucji, który zapewnia obywatelom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej prawo do nauki. Porównam go z rzeczywistością konkretnie znanego mi rejonu szkolnego.

Rejon to niewielki, obejmujący w zasadzie dwie gromady, około 800 mieszkańców, z tych jedna wybitnie biedniacka, druga o pewnej ilości gospodarstw średniorolnych. Przed wojną szkoła mieściła się tu w jednej izbie, wynajętej od dworu. Nauczycielka mieszkała kątem u chłopa sąsiada. W 1945 r. szkoła zostaje przeniesiona do obszernego budynku podworskiego. Budynek rychło zapełnia się sprzętem szkolnym i dziećmi. Już w marcu 1945 r. pracują tu trzy nauczycielki. Dzieci jest około dwieście. Duża rozpiętość wieku, zwłaszcza wśród pierwszo i drugoklasistów, utrudnia pracę. Klasy liczą po 50 i więcej dzieci. Do września 1945 r. trwa pewien chaos organizacyjny. Brak pomocy, podręczników, nawet programu. Mimo to 1.IX. 1945 r. grupa 8 bardziej zaawansowanych uczniów zdaje do szkół średnich. W samej szkole praca wkracza już na normalne tory. Początkowo najwyższą klasą jest trzecia. Potem z każdym rokiem klas przybywa. Tak, że w r. szk. 1949/50 wychodzi pierwsza grupa absolwentów pełnej siedmioklasowej szkoły podstawowej w liczbie 36. W następnym roku opuszcza szkołę nowych 33 dzieci. W sumie razem z pierwszą ósemką pokaźna to grupa — 77. Co ważniejsze, procent pozostałych w gospodarstwie po skończeniu szkoły podstawowej jest nadzwyczaj nikły. Nie przekracza 13 osób. Połowa absolwentów zapełniła ławki w szkołach średnich, ogólnokształcących i zawodowych (6 w liceach pedagogicznych) reszta pracuje zawodowo dokształcając się na kursach. Spośród gromadki wypuszczonej w 1945 r. do szkół średnich — dwoje znajduje się już na studiach uniwersyteckich w Łodzi, trzeci zaś syn małorolnego, pracujący już jako kwalifikowany nauczyciel szkoły podstawowej, studiuje na studium zaocznym.

Oczywiście nie odbyło się i bez odsiewu, około 20 dzieci odpadło w ciągu tych siedmiu lat. Dziewięćdziesiąt procent z tego stanowiła młodzież starsza, opóźniona w nauce, którą ze szkoły zabierała konieczność pracy w domu, pracy na roli. Wydaje mi się jednak, że i ci młodzi wrócą kiedyś do książki, na którymś z kursów organizowanych tak licznie dla ludzi pracy. Co było przyczyną tak pozytywnego stosunku do oświaty, do nauki?

Oczywiście nie tylko t.zw. głód wiedzy, który jest na ogół zwykłym objawem u młodzieży, szczególnie z klas społecznych do niedawna pod tym względem upośledzonych, i który podczas okupacji, zwłaszcza na terenach włączonych do Rzeszy wybitnie przybrał na sile.

Istotnym natomiast czynnikiem jest możność zaspakajania tego głodu, oraz pewność łatwego znalezienia zatrudnienia w zawodzie nierolniczym po skończeniu szkoły.

Art. 61 projektu Konstytucji dopiero wtedy nabiera pełnego wyrazu, kiedy rozpatruje się go łącznie z artykułem gwarantującym prawo do nauki.

O ile w latach 1947—1948 zdarzało się jeszcze często, że robotę w gospodarstwie stawiano na pierwszym miejscu przed szkołą, o tyle w latach następnych na ogół nie ma już w gromadzie rodziców, którzy by mieli jakiekolwiek zastrzeżenie co do kształcenia swych dzieci. Przeciwnie. Na każdym kroku spotkać się można z troską rodziców o zapewnienie dzieciom możliwości kształcenia na poziomie średnim.

Czy to znaczy, że dawny sposób myślenia chłopa został już całkowicie przełamany. Nie. Dowodem tego jest tendencja do kształcenia w szkołach raczej ogólnokształcących niż zawodowych. Są to pozostałości w świadomości chłopa tych czasów, kiedy wykształcenie techniczne nie gwarantowało znalezienia pracy i kiedy tylko gimnazjum ogólnokształcące dawało cenzus „pana", a zawodówki były raczej w pogardzie.. Tęsknoty dostania się w środowisko inteligenckie w starym tego słowa rozumieniu jeszcze pokutują gdzie niegdzie. Ilustracją tego zjawiska mogą być słowa jednej z matek, która po nieudanym egzaminie córki do liceum pedagogicznego propozycję skierowania jej „pociechy" do liceum rolniczego zbyła słowami: „Krowy doić i u mnie się nauczy. Nie potrzebuje na to żadnej szkoły".

Jeśli chodzi o stosunek do zawodu rolniczego, to w ogromnej większości wyraża się on w naszej wiosce w przekonaniu, że do rolnictwa szkoły nie potrzeba. W ostatnim roku tylko jedna uczennica wyraziła chęć pójścia do liceum rolniczego, a dwóch chłopców chęć pracy w PGR w charakterze traktorzystów.

Jeśli chodzi o zawody pozarolnicze, to jak wspomniałem poważaniem największym cieszą się zawody tradycyjne: nauczyciel, doktór, buchalteria, pisanie na maszynie.

Ta tendencja ma jednak wszelkie cechy zaniku. I inaczej być nie może, skoro rzeczywistość Polski Ludowej wprowadziła nową, socjalistyczną i jedynie sprawiedliwą hierarchię zawodów. W ten sposób zawody techniczne stają się zawodami najbardziej atrakcyjnymi.

W ciągu ostatniego roku można było pod tym względem zanotować pewien zasadniczy przełom w świadomości ludzi na wsi. Oto jedna z absolwentek w ostatnim roku wstąpiła na kurs pielęgniarski do Krakowa, jedna do Liceum Sztuk Plastycznych, jedna do szkoły włókienniczej, inny do Liceum Administracyjnego, jeszcze inny na elektrotechnikę. Ten sam przełom wyraził się również w zorganizowaniu w gromadzie, należącej do opisywanego rejonu szkolnego, spółdzielni produkcyjnej I typu.

Ta spółdzielczość produkcyjna, której rozwój zapewnia art. . . . projektu Konstytucji będzie ostatecznym i najpewniejszym gwarantem pełnego wykorzystania dobrodziejstwa artykułu 61 przez pracującego chłopa.

Jan Marszałek

Na Festiwalu w Budapeszcie

MIECZYSŁAW INGLOT

Pióro walczące

„Wierzę, że my ludzie stworzeni jesteśmy w innym celu, niż po to, aby nawzajem rozrywać się w kawałki bombami. Wierzę, że na naszej planecie jest dość powietrza, pożywienia i dachu nad głową dla wszystkich ludzi. Wierzę, że żaden człowiek nie ma prawa być panem innego człowieka. Wierzę, że dziś najwyższą cnotą jest wznieść miecz przeciwko tym, którzy pierwsi go podnieśli. Nieubłaganie aż do ich całkowitej zagłady. Ażeby wrócił pokój na ziemię. Pokój, braterstwo, równość i wolność".

Słowa te napisał Teodor Balk, autor i zarazem bohater książki, noszącej sensacyjny tytuł *„Zaginiony rękopis"**). Humanistyczny sens „credo" pisarskiego, wyrzeczonego w tragicznych latach drugiej wojny światowej, przepaja cały jego utwór. Powieść, pamiętnik, reportaż? Określenie rodzajowe książki Balka napotyka na szczególne trudności, już to ze względu na specyficzne zmieniające się ustawienie postaci autora - bohatera, już to na wynikającą z tego niejednolitość podejścia do rzeczywistości i rozmaitość jej traktowania. Książkę Balka musimy na tej podstawie podzielić na pewne z lekka zarysowane części, obejmujące kolejno: lata przedwojenne; wojnę hiszpańską, obozy we Francji i lata drugiej wojny światowej; oraz lata powojenne — a zasadniczo rozdział p. t. „Wbrew wszelkim oczekiwaniom".

Znamy rozmaite opowiadania o różnej pracy, w różnych zawodach. Znamy książki, w których pisarze mówią o swoim warsztacie pisarskim. Takimi opowiadaniami o warsztacie postępowego dziennikarza są poszczególne, a przede wszystkim początkowe rozdziały książki Teodora Balka. Przymiotnik „postępowy", przy stwierdzeniu, że akcja utworu toczy się w znacznej części na terenach zachodniej i środkowej Europy, przeważnie w latach 1935 — 1940, określa sens tytułu. Postępowy dziennikarz, piszący na terenie, gdzie władał kapitał, musiał być narażony na ukrywanie się, na więzienie i prześladowania. Zaginione w rozmaitych okolicznościach i nie przy biurku kreślone rękopisy jego reportaży wyznaczają silnie i dobitnie drogę poświęceń i trudności, jaką przebywał.

Zasadniczą cechą pierwszej części, pierwszego cyklu rozdziałów omawianej książki jest dokumentarny, w przeważającej mierze, charakter podejścia do omawianych zagadnień. *„Podróż po terenach przyszłych działań wojennych"* wysuwa na plan pierwszy cykl wywiadów, które przeprowadza autor z ludźmi o rozmaitych poglądach politycznych. Teren zmienia się szybko. A więc Niemcy hitlerowskie, konkretnie, miasteczko Leuna, Sudety Czeskie, Austria, Alzacja i Lotaryngia, Luxemburg, Szlezwig - Holsztein, „korytarz polski", fragmentarycznie: Gdańsk i Kłajpeda. Pisarz spotyka się z tajnymi agentami Hitlera, zamaskowanymi pod etykietą rozmaitych niemieckich i nieniemieckich „towarzystw", odtwarza nam ich poglądy na zagadnienia polityczne, odsłaniając korzenie faszyzmu. Teodor Balk znakomicie przedstawia sytuację na tych terenach, gdzie nieomal oficjalni hitlerowcy, jak sudecki führer Henlein, nauczyciel Hitlera — Austriak, Walter Riehl, przyszły duński Quisling—dr Fritz Clausen, cieszą się swobodą i opieką władz, a on postępowy dziennikarz, traktowany jest jako wróg i „agent obcego mocarstwa". Co więcej — Balk potrafi pokazać, dlaczego tak się dzieje. Przyczyny takiej sytuacji tkwią w szachérkach międzynarodogo kapitału, w interesach kosmopolitów z Czech, Austrii czy Alzacji; tkwią w matactwach „Czechów" z mydlarskiej firmy „Schicht"; „Austriaków" z dyrekcji Spółki Akcyjnej „Alpinen - Montan", „Luxemburczyków" i „Francuzów" — panów Wedel z „Comité des Forges" — twórców Monachium i Vichy. Ci panowie zdradzają własne narody, ponieważ związek z Hitlerem i popierającymi go niemieckimi firmami, wydaje się im lepszą, niż ich własne rządy, gwarancją bezpieczeństwa przeciwko własnej klasie robotniczej, wydaje się im doskonałym narzędziem przeciwko Związkowi Radzieckiemu; a hitlerowska polityka przygotowań do wojny jest dla nich — źródłem zysków: Balk nie ogranicza się w swojej krytyce do ukazania oficjalnych przynajmniej „führerków" poszczególnych ugrupowań faszystowskich na zapalnych terenach II-giej wojny światowej. Pokazuje on ludzi, którymi posługuje się faszyzm. Takie typy bojówkarzy, jak morderca Byczek, czy cała galeria faszystowskich oficerków, ludzie tępi i brutalni — oto narzędzia kapitału.

Może zbyt mało miejsca w pierwszej partii swoich reportaży, poświęca Balk przeciwwadze takiego stanu rzeczy — siłom postępu i pokoju. Najpełniej reprezentuje je robotnik z fabryki w Rothau, nazwany przez autora Duringiem. Ten człowiek, żyjący w nędzy, odrzuca bez wahania korzystne propozycje sudeckich faszystów. *„Jego nazwiska nie przekaże potomności ani prasa, ani literatura. Długa jest lista męczenników i bohaterów, do których modlą się ludzie i którym wznoszą pomniki na placach i w książkach — ale niewielu tylko zasłużyło na to tak, jak ten oto człowiek".* Z postawy takich ludzi, jak ów bezimienny w zasadzie (nazwisko During przyjęte jest przez pisarza raczej symbolicznie) robotnik, czerpie siłę do wytrwania rozmyślający w więzieniu autor.

Wojna zaczęła się dla Balka w Hiszpanii w roku 1936. Walki, długie przemarsze, przerzucane na papier momenty klęsk i zwycięstw. Zmienia się wtedy zasadniczo charakter książki. Balk przestaje być dziennikarzem — jego utwory tracą charakter reportaży. Człowiek staje się żołnierzem — pisarz rejestruje już nie ogólne fakty, więcej lub mniej reprezentacyjne nazwiska. Dokonuje się niezwykle ciekawa przemiana reportażu w opowiadanie o charakterze pamiętnikarskim. Talent literacki Balka dorasta w niektórych momentach do siły wyrazu „Reportażu spod szubienicy" Fuczika. Zetknięcie się ze śmiercią na polach hiszpańskich, śmiercią nadciągającą wraz z szarżą kawalerii marokańskiej w takt warkotu Junkersów, staje się dla pisarza - intelektualisty momentem autoanalizy. Zasługą Balka stało się to, że potrafił dostrzec nie tylko sens życia, lecz umiał rozszyfrować sens śmierci. Śmierci, która wtedy staje się niczym dla człowieka, gdy walczy o sprawę droższą niż życie. *„Widziałem, jak po niebie Hiszpanii krążyły jego (Hitlera p. m.) Junkersy i Heinkle i jak na ziemi hiszpańskiej rosły długie rzędy dziecięcych trumienek. Mózg i serce przygnały mnie tutaj do Hiszpanii, mózg i serce pozwalały mi tak lekko iść śmierci na spotkanie".*

Wśród dalszych wydarzeń i wypowiedzi autora, na czoło wybija się niewątpliwie jego stosunek do sytuacji ZSRR podczas ostatniej wojny. Wyraża on silną wiarę w Kraj Rad i jego zwycięstwo nad faszyzmem, wiarę, że 22.VI. 1941 — to początek klęski Hitlera.

Sympatia Jugosłowianina Balka nie omija Polaków, z którymi musiał się przecież spotkać na drogach walki o wolność. Wspomina o nas urywkowo, mówiąc o walkach w Hiszpanii — szerzej pisze o Polakach podczas swego pobytu we francuskim obozie dla internowanych cudzoziemców. Nie omieszka także podkreślić szacunku i przyjaźni, jakimi byli otaczani Polacy.

Krytycznie ocenia Balk rzeczywistość amerykańską. Ameryka, w której się znalazł podczas wojny to: *„Na przednim planie żelazna krata, na tylnym planie statua wolności — obraz, który jest uzmysłowieniem, migawkowym skrótem historii tego kraju".* Pisarzowi postępu danem było dożyć końca wojny i doczekać zwycięstwa socjalizmu w wielu krajach. Apoteozie nowej, rodzącej się rzeczywistości poświęca rozdział swej książki p. t. „Spotkanie". Pisarzowi jugosłowiańskiemu jednak nie było dane ujrzeć w swoim kraju prawdziwej wolności. W trzeciej części swej książki, obejmującej rozdział „Wbrew wszelkim oczekiwaniom", a będącej politycznym manifestem pisarskim, w którym jest zawarty trzon ideologiczny utworu, napisał te pełne bólu a zarazem nadziei słowa:

„Wbrew wszelkim moim oczekiwaniom, moja ojczyzna stała się znów terenem walk, wśród których giną rękopisy.

Ale sługusy policyjne niech wiedzą: mogą konfiskować rękopisy, wtrącać do więzień i pozbawiać życia naszych dzielnych towarzyszy, lecz nie mogą, nie mogli i nigdy nie będą mogli w żadnym kraju, na żadnym skrawku ziemi zniszczyć idei, które żyją w ludziach i w rękopisach".

Mieczysław Inglot

*) *Teodor Balk, „Zaginiony rękopis", „Czytelnik", 1951.*

EDMUND WOJNAROWSKI

Pisarze walczą o pokój

„OKUTY W POWICIU"

KRYTYKA kapitalizmu, jakiej dokonują postępowi pisarze w swych syntezach powieściowych, wyrażana bywa najczęściej przez ukazanie społecznego, gospodarczego, politycznego mechanizmu wyzysku kapitalistycznego, przez odsłonięcie jego istoty, przez zobrazowanie położenia klas wyzyskiwanych. Ale system kapitalistyczny można atakować również posługując się krytyką jego nadbudowy ideologicznej. Na tej płaszczyźnie ideowej polemiki spotykamy się wprawdzie z wielkim zawężeniem problematyki; niemniej jednak metoda ta stanowi poważną broń w walce z wrogą ideologią. Tę drogę obrał wybitny pisarz francuski, Andrè Wurmser w powieści pt. *„Okuty w powiciu"**), ukazując w niej środowisko drobnomieszczańskie, z którego wyszedł i które staje się przedmiotem jego ironicznej krytyki.

Imię Andrè Wurmsera jest dzisiaj szeroko znane wśród wszystkich ludzi walczących o pokój. Wurmser należy bowiem do grupy wybitnych postępowych pisarzy i krytyków literackich skupiających się wokół Komunistycznej Partii Francji i tworzących nową demokratyczną literaturę francuską, przeciwstawiającą się brutalnej i prymitywnej „amerykanizacji" kultury kraju, który wydał wielkich myślicieli i artystów. Gorący patriota i internacjonalista, Wurmser ma szczególne zasługi na polu popularyzacji wiedzy o Związku Radzieckim wśród szerokich mas Francuzów — przed wojną był aktywistą Towarzystwa Przyjaciół Związku Radzieckiego i przez pewien czas redagował jego organ zatytułowany „Russie d'Aujourd'hui" („Rosja dzisiejsza"), w czasie okupacji opublikował nielegalnie broszurę „Co należy wiedzieć o Związku Radzieckim". Wurmser położył również duże zasługi w walce z faszyzmem — już w okresie międzywojennym demaskował klikę generała de Gaulle'a; brał czynny udział we francuskim ruchu oporu, redagując w okręgu Tuluzy konspiracyjne pismo „Le Patriote" („Patriota"). Dzisiaj Wurmser jest współpracownikiem wszystkich postępowych czasopism literackich Francji; jako krytyk literacki kładzie w swej działalności szczególny nacisk na walkę z wszelkimi próbami, niekiedy dość zamaskowanymi, „zamerykanizowania" kultury francuskiej, poddania jej degenerującym wpływom ideologii amerykańskiego imperializmu.

Ostatnio mieliśmy możność podziwiać jego wspaniałą postawę wobec prowokacyjnego procesu sądowego, wytoczonego mu przez klikę międzynarodowych szpiegów za rzekomą „obrazę czci". W procesie tym oskarżonymi, a raczej na pewno oskarżającymi są Renaud de Jouvenal jako autor książki pt. „Międzynarodówka zdrajców" i Andrè Wurmser jako autor przedmowy do tej publikacji. Proces ten przekształcił się w ponowne zdemaskowanie oskarżającej kliki szpiegowskiej, a obydwaj pisarze oświadczyli, że nie odwołują ani jednego ze swych twierdzeń i zawsze będą piętnowali bez litości *„zdrajców swojej ojczyzny, zdrajców sprawy pokoju".* Wurmser jeszcze raz czynem zaświadczył swoją gorącą przyjaźń dla Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej, szczególnie kiedy demaskował emigracyjne niedobitki przedwojennej „kliki pułkownikowskiej", jeszcze raz udowodnił swoje umiłowanie wielkiej sprawy pokoju. Tego przyjaciela postępowej ludzkości powinni bliżej poznać czytelnicy polscy.

Omawiana powieść Wurmsera należy (jak obszernie informuje w artykule o literaturze francuskiej M. Czerwiński w 5 n-rze „Nowej Kultury") do rozpowszechnionego w nowej postępowej literaturze francuskiego gatunku „inteligenckich obrachunków". Jest to ten etap rozwoju, który przeszła także u swoich początków i nasza młoda literatura. Powieść Wurmsera, jak słusznie zauważa sprawozdawca „Nowej Kultury", różni się jednak od utworów z tego cyklu takich, jak „Dziwna zabawa" Vaillanda czy „Kochankowie z Awinionu" Triolet, wyższą świadomością ideologiczną, bardziej klasowym ujęciem zagadnień biografii „dziecięcia wieku". Dlatego też utwór Wurmsera może się spotkać z dużym zainteresowaniem wśród naszych czytelników, których pasjonują ciągle jeszcze „porachunki z przeszłością", a którzy niezawsze w naszej literaturze oryginalnej mogą natrafić na właściwe oświetlenie przemian w świadomości „okutych w powiciu", z trudem wydobywających się z więzów narzuconych przez reakcyjne środowisko.

Renaud de Jouvenal i Andre Wurmser pod czas prowokacyjnego procesu w Paryżu
Foto — CAF

Wurmser obrał w swojej książce metodę ideową i artystyczną, która ma olbrzymią tradycję w literaturze francuskiej (patrz chociażby „Rodzina Thibaud" Martin Du Garda czy „Kronika rodu Pasquier" Duhamela): przedstawił mianowicie — szczególnie mistrzowsko w prologu zatytułowanym „Nasze zwyczaje i obyczaje" — dzieje rodziny, drobnomieszczańskiej rodziny Marcadet, *„sławnej w swoim własnym gronie"*, historię zamkniętego klanu rodzinnego, zajmującego się sprzedażą konserw groszku „Butterfly". To studium, napisane z nieporównaną ironią w duchu France'a, posiada ze względu na szczegółowość zawartych w nim danych socjologicznych, olbrzymią wartość poznawczą. W zbiorowym portrecie rodziny Marcadet doskonale rozpoznajemy rysy i naszego rodzimego drobnomieszczucha. I na tym chyba polega największa wartość tego wstępnego rozdziału powieści Wurmsera, że autor umiał trafnie wychwycić typowe rysy, zwyczaje, powiedzenia, typowy światopogląd drobnomieszczaństwa w czasach imperializmu. Dlatego z prawdziwą satysfakcją czytamy powieść, która może się przyczynić do walki także i z przejawiającą się u nas tzw. „drobnomieszczańskością", to znaczy, charakterystycznym dla „drobnych posiadaczy" kompleksem cech ideowych i psychicznych. Jeśli chcecie otrzymać pełny rejestr tych cech, przeczytajcie świetny „Prolog" Wurmsera. Nauczy was on rozpoznawania wroga w najdrobniejszym nawet odruchu.

Klasowość ujęcia problematyki przez Wurmsera w „Prologu" przejawia się głównie w tym, że z dużą świadomością portretuje on drobnomieszczaństwo i właśnie drobnomieszczaństwo w całej jego istocie ekonomicznej i politycznej, a nie jakąś rodzinę o cechach „ogólnoludzkich", które można wszędzie spotkać i które o niczym nie świadczą. Z drugiej strony jednak Wurmser nasyca swój obraz taką ilością doskonale dobranych drobnych, lecz typowych realiów i szczegółów, że nie można go w żadnym wypadku posądzić o konstruowanie „klasowego" schematu, nagiego szkieletu oderwanych cech i wyabstrahowanych z czasów obyczajów.

Właściwą problematyką książki stanowi żmudny proces wydobywania się z „okucia". Psychiczną trudność tego procesu narrator doskonale charakteryzuje w następujących słowach: *„Krępowało mnie więcej drobniutkich więzów niż Gulliwera spętanego przez Liliputów i więzy te tak mocno wpiły mi się w ciało, że nie mógłbym żadnego z nich zerwać, nie raniąc się do krwi".* Trzeba jednak wyraźnie podkreślić, że ów proces wydobywania się Juliana Dubroca z więzów drobnomieszczańskiego środowiska w głównej części powieści — poza „Prologiem" — został sprowadzony niemal wyłącznie do problemu wyboru między Liceum Henryka IV, (które umożliwiało narratorowi „zostanie poetą") a Handlowym Instytutem Przygotowawczym, którego ukończenie zapewniało mu zawód handlarza, tradycyjny w rodzinie Marcadetów, zapewniało mu duże zarobki i „dobre samopoczucie". Spór o losy Juliana Dubroca, o jego przyszłość „poety" (w powieści jest to symbol odejścia od drobnomieszczańskiej ciasnoty i zamknięcia w kręgu własnych interesów) czy „handlarza" toczy się także wśród nieporozumień między jego matką a ojcem. Matka reprezentuje w powieści, mimo całego uroku i wdzięku, jakim obdarzył ją autor i narrator, wszystkie ograniczenia rodziny Marcadetów; ojciec, wybitny adwokat paryski, jest tu przedstawicielem innego świata, odrębnego od tępego środowiska komiwojażerów firmy konserw groszku „Butterfly". Ale jakiego świata? — tego wyraźnie powieść nie mówi; w tym świecie — co prawda inaczej niż u Marcadetów — mówi się o socjaliźmie, zachwyca się wiedeńską muzyką operetkową, zajada się wykwintne obiady i kolacje. Ale czytelnik zdaje sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nie ma zbyt wielkiej różnicy między rodziną Marcadetów a adwokatem, Teodorem Dubroc, i że konflikt jest jednak pozorny. W obrębie tych dwóch światów nie może się dokonać zasadniczy przełom ideowy w Julianie Dubroc. Powieść jednak — mimo tych wielu niedomówień i przeciwstawień pozornych — z dużą subtelnością i dowcipem przedstawia pierwsze próby wyszarpania się ze środowiska, początkowe procesy rozwoju intelektualnego i uczuciowego dwunastoletniego chłopca. W zakresie analizy skomplikowanych procesów psychicznych, analizy przenikliwej, urzekającej inteligencją i subtelnym humorem, trzeba przyznać Wurmserowi duże mistrzostwo. W tej książce wielu czytelników odnajdzie uroki i zabawy własnego dzieciństwa, opisy przedziwnych przygód i marzeń w czterech ścianach pokoju. Oczywiście, jest to analiza dzieciństwa dziecka z klas posiadających i to warunkuje w sposób przejrzysty zawarte w niej realia i obserwacje.

Trzeba żałować, że krytyka środowiska drobnomieszczańskiego, tak świetnie zarysowana w „Prologu", nie dostała się potem w takim wymiarze i ujęciu do „akcyjnej" partii powieści, stanowiącej właściwy trzon utworu. W tej chwili „Prolog" odgrywa rolę ostrego, „odgórnego" komentarza autorskiego, który pozwala właściwie ocenić dzieje Juliana Dubroc. Jednak nie można nie zaznaczyć, że brak owego czujnego klasowego spojrzenia autorskiego wewnątrz samej powieści, zniekształcił, a raczej zatarł niekiedy jej sens ideowy. Bowiem opis dzieciństwa Juliana składa się często z impresji i doznań dziecięcych — niezbyt jasno tłumaczących ideowy zamiar autorski. Jak już podkreślałem — analiza tych przeżyć stanowi o dużym, nieprzepartym uroku powieści (jak np. w rozdziałach „Młodość poety" czy „Miłość poety"), ale też budzi pewien niedosyt ideologiczny.

Julian Dubroc wybiera Handlowy Instytut Przygotowawczy, bierze stronę rodziny Marcadetów. *„Nie rozróżniałem w ciemności, po lewej stronie, gdzieś za wujami i dziadkami, innych milczących świadków; nie widziałem, choć byli obecni, uwieszeni na mnie całym ciężarem: wuja Adolfa i jego własnych wujów, rodziców moich dziadków, kolegów Karola i Lucjana, różnych komiwojażerów, drobnych sklepikarzy, drobnych urzędników, całą odrębną część świata, cały obcy, ale znany tłum kochających wrogów. Patrzyli na mnie, kiedym ważył życie na ich wadze: narzucali mi swój wybór".* Czy Julian Dubroc kiedyś zrozumie, że wybrał nie rodzinę, a klasę; czy uwolni się z więzów drobnomieszczańskich ograniczeń, zrzuci niewidzialne „okucia"; czy zostanie „poetą" czy „handlarzem"? Jeśli przyjmiemy założenie, że jakaś część osobistego życiorysu Wurmsera znalazła odbicie w dziejach Juliana Dubroca, to możemy odpowiedzieć twierdząco na pytania o los człowieka, który został jednak „poetą". Ale właściwą, artystycznie udokumentowaną odpowiedź mogą nam dać tylko dalsze części powieści Andrè Wurmsera.

Edmund Wojnarowski

*) *Andrè Wurmser, „Okuty w powiciu", „Czytelnik", 1951. Tytuł oryginału: L'enfant enchainé, tłumaczyła Irena Krzywicka.*

Klasyk literatury rumuńskiej

Jon Luca Caragiale

Ludowa Republika Rumuńska obchodzi w bieżącym roku setną rocznicę urodzin wielkiego pisarza narodowego, klasyka literatury rumuńskiej Jona Luca Caragiale.

Życie i twórczość J. L. Caragiale (1852—1912) przypadły na bogaty historycznie okres dziejów Rumunii, charakteryzujący się nasileniem konfliktów klasowych, konsolidacją burżuazji i obszarnictwa do walki z dojrzewającymi politycznie masami ludowymi, z chłopskimi buntami wyzyskiwanej wsi i robotniczymi strajkami. W proteście uciśnionych mas przeciw sojuszowi burżuazji i obszarnictwa, w pierwszej linii klasowej walki, obok chłopa i robotnika, szły książki Caragiale, słowa protestu i nienawiści wielkiego pisarza, płomiennego krytyka panującej oligarchii. Wypowiedzi publicystyczne Caragiale świadczą, iż widział on „punkt wspólny" między walczącym proletariatem a swoją pracą pisarza. W artykule „1 Maja" z 1893 r. pisał: „I jedni i drudzy walczą o nowe, jaśniejsze i uczciwsze czasy. Oni wybrali drogę organizacji i walk politycznych, my drogę ironii i kłującego żartu, skierowanego przeciwko tym, którzy rządzą światem. To, co my niszczymy, idzie po linii tego, co niszczą oni".

Wysoka ranga społeczna i polityczna twórczości Caragiale zjednała mu niechęć oficjalnej krytyki, powodowała szykanowanie jego dramatów przez bardziej znane sceny kraju, a burżuazyjne literaturoznawstwo rumuńskie usiłowało rozbroić celne ostrze politycznych epigramatów, satyr i bajek pisarza, wmawiając mu pozę pokłóconego ze światem sceptyka.

Różnorodna gatunkowo spuścizna literacka Caragiale obejmuje dramaty pisane w latach 1878—1890, w tym niektóre tak wybitne pod względem artystycznym i uderzająco doskonałą znajomością wymagań sceny jak „Burzliwa noc" (1878) czy „Zgubiony list" (1884), felietony drukowane w periodykach literackich, które stworzyły nieśmiertelną serię błyskotliwych „Momentów", wreszcie u schyłku życia powstałe opowiadania i bajki zebrane w 1910 r. w tomie „Nowe Szkice".

Realistyczna i zaangażowana w aktualnych problemach kraju sztuka Caragiale w szerokim przekroju ukazała życie różnych klas społecznych demaskowała istotę sojuszu partii burżuazyjno-obszarniczych, „band politycznych", jak nazywał je Caragiale, odsłaniała mechanizm monarchicznej machiny państwowej. Wielki ironista kpił i wyśmiewał urządzane przez rząd wybory, oparte na terrorze, przekupstwie i kłamstwie. W artykule „Rok 1907 od wiosny do jesieni" Caragiale uchylił rąbka „patriotycznego" sojuszu burżuazji i obszarnictwa, wymierzonego przeciw potężnemu powstaniu chłopskiemu w Rumunii, z mocą i namiętnością protestował przeciw krwawym pacyfikacjom wsi.

Niezawodnym środkiem artystycznym w ideowej walce Caragiale była satyra, komizm, groteska wielkiej klasy. Wraz z nasilaniem się konfliktów klasowych i wzrastającą drapieżnością kapitalizmu potężniało ostrze ironii pisarza, coraz częściej pojawiały się tony gorzkiego ludowego sarkazmu. Ironiczna muza Caragiale dała narodowi rumuńskiemu wielkie kreacje satyryczne Dardanach'ów, tłumaczące się w swym wizerunku ideowym z jasnością szczedrinowskiego Judaszka Gołowlewa. Cięte pointy satyryczne Caragiale obiegały całą Rumunię, stając się własnością narodu.

W centrum satyrycznego ataku pisarza znalazł się nacjonalizm, szowinizm burżuazji, wzrastający proporcjonalnie do siły imperialistycznych powikłań światowych. Dla nacjonalistycznego towarzystwa „Zielonych Rumunów" wrogie i nienawistne było „wszystko co nie rumuńskie", oczywiście, podkreśla Caragiale, „wyjątek od tej reguły stanowią kapitały nierumuńskie". Z drugiej strony pisarz świetnie pokazał wrogość burżuazji wobec kultury narodowej, kosmopolityczną treść upodobań artystycznych oligarchii. Wielki patriota rumuński Caragiale całą swoją twórczością stanął w obronie narodowej kultury. Język jego utworów bogato czerpie z zasobów leksykalnych mowy ludu rumuńskiego — podstawy narodowego języka, stąd jędrność i szlachetna prostota literackiego stylu pisarza. W artystycznych elementach sztuki pisarskiej Caragiale, w typie obrazowania, języku widać głęboką ideową postawę pisarza w stosunku do rzeczywistości, znać wielkiego realistę, który jasno widzi wyzyskiwanych i wyzyskiwaczy, potrafi dać swym obserwacjom społecznym pełny a różnorodny wyraz artystyczny. Celne pociski ironii pod adresem rządzącej oligarchii obok głębokich, pełnych wstrząsającej prawdy, epickich obrazów bitych i rabowanych chłopów, tworzą szerokie i właściwe widzenie świata, wskazują na umiejętność realistycznego doboru środków artystycznych dla jego obrazowania.

Pisarstwo Caragiale, szykanowane przez policyjne i kulturalne instytucje burżuazyjnej Rumunii przez długie lata, usiłowano zepchnąć z czołowego miejsca w historii literatury narodowej; sam pisarz zmarł na emigracji w Berlinie. Dzisiaj naród rumuński, z pietyzmem sięgający do postępowej spuścizny literackiej, wrócił właściwą rangę twórczości Caragiale. W stulecie urodzin pisarza z ludowych bibliotek i scen teatrów obiega Rumunię jego klarowne słowo i realistyczna prawda o starym świecie, którego był burzycielem.

A. W.

IRENEUSZ GWIDON KAMIŃSKI

Chłopscy racjonalizatorzy

PRZEGLĄDAJĄC w Okręgowej Dyrekcji PGR-ów i w Okręgowym Zarządzie ZSCh w Poznaniu pękate teczki z napisem „Wnioski racjonalizatorskie" być może lepiej niż kiedykolwiek, uświadomiłem sobie przełom, jaki zaszedł w świadomości polskiego chłopa.

Małorolny Michał Marciniuk z Nowej Wsi Wszyńskiej, pow. Chodzież założył sobie poletko doświadczalne z burakami cukrowymi. Kombinował, medytował, zmieniał metodę uprawy i — z jednego ha. piaszczystej gleby zebrał 400 kwintali buraków. A rzeczoznawcy z Szamotulskiej Cukrowni oglądając jego — szumnie mówiąc— plantację, prorokowali zbiór najwyżej 230 kwintali z hektara. Nie na tym koniec; rozpoczął plantację roślin oleistych. I znów na swoich piaskach zebrał 20,8 kwintali maku z ha, podczas, gdy nawet na dobrych glebach 20 kwintali z ha. jest zbiorem wyjątkowym.

Franciszek Dudyński ze Starego Bojanowa, pow. Kościan, to zapalony miczurinowiec, znany w okolicy ze swej bogatej biblioteki fachowej. W jednej z dwóch posiadanych izb urządził małe laboratorium i rozpoczął badania nad wyhodowaniem nowego gatunku kukurydzy. Początkowe niepowodzenia nie zrażały go i w końcu upór popłacił. Przez skrzyżowanie kukurydzy jugosłowiańskiej z bydgoską uzyskał nowy gatunek o kolorze czerwonym, nadzwyczaj odporny na chłód i suszę, udający się doskonale na terenach piaszczystych. Kolba (bazia) tej kukurydzy ma przeciętnie 600 ziarenek, a więc ilość niespotykaną. Dudyński nazwał swój okaz kukurydzą nietążkowską (od nazwy gminy). Obecnie pracuje nad krzyżówką lubinu.

Chłop, przyuczony szofer w PGR Przygodzice, pow. Ostrów Wlkp. ob. Zieleniecki skonstruował nowy model kosiarki łodziowej, różniący się tym od dotychczas używanych, że motor porusza jednocześnie łódź i kosę, podczas, gdy dawniej do poruszania łodzi potrzebnych było dwóch ludzi, Dalej: kosiarka Zielenieckiego jest wiele obrotniejsza dzięki umieszczeniu na dziobie łodzi noża pionowego, który przecina szuwary leżące poziomo. Poza tym kosiarka posiada regulator, umożliwiający dowolne koszenie tak pod wodą, jak i nad wodą. Największą zaletą jest jednak to, że można ją łatwo skonstruować gospodarczym sposobem (wyłączając silnik oczywiście), co będzie miało duży wpływ na upowszechnienie mechanicznego oczyszczania jezior i stawów.

Czym innym wyróżnił się małorolny Franciszek Niedźwiedź z Popielna, pow. Chodzież. Zajął się propagowaniem produkcji wikliny przemysłowej, wskazując chłopom obustronne korzyści, płynące z takiej produkcji. Sam obsadził 5 ha. wikliną, ale nie, jak to dawniej robiono, bez ładu i składu, ale rzędowo, przez co uzyskał większe zbiory i jakościowo wiele przydatniejsze dla celów przemysłowych. Na marginesie: specjalnością ob. Niedźwiedzia jest hodowla bobrów i karpi królewskich; ośrodki hodowlane tego rodzaju założył na dwóch stawach.

Jeszcze wspomnijmy o jednym pomyśle, ob. Wasilewskiego z Czachór Traktor ciągnąc siewnik ubijał swymi kołami ziemię, przez co część ziaren nie trafiała na spulchnioną glebę i w rezultacie nie wschodziła. Wasilewski skonstruował wzruszacz ziemi, który jest przymocowany do siewnika i ślady kół likwiduje. Wzruszacz jest przymocowany w ten sposób, by każdej chwili można go podnieść (przy uwrotach i jeździe na drogach). Ten sam racjonalizator jest autorem wielu innych pomysłów m. in. płótniarki do czyszczenia nasion i brony łańcuchowej do bronowania redlin ziemniaczanych.

Podane przykłady nie są jakimiś sporadycznymi wysiłkami. Chłopi - racjonalizatorzy łączą się w kółka, nad niejednymi pomysłami zastanawiają się zespołowo, dyskutują. Aktywnością wyróżniają się koła racjonalizatorów w zespole PGR Przygodzice, pow. Ostrów Wlkp., w Gościejewicach, pow. Rawicz, w Petrykach, pow. Kalisz, w zespole PGR Gola, pow Gostyń. Na terenie województwa, w Kórniku, mamy ośrodek wymiany doświadczeń chłopów z naukowcami, gdzie chłopi zdobywają teoretyczne podstawy dla swej pracy a naukowcy korzystają z terenowych doświadczeń chłopów. Między racjonalizatorami znajdziemy młodzież, kobiety (np. Helena Kowalczyk z Czachór — model uproszczonego gniazda zatruskowego dla drobiu do noszenia jaj).

Poza wysiłkami zmierzającymi do uzyskania maksymalnej wydajności gleby i wyhodowania nowych, korzystniejszych odmian roślin uprawnych, prace racjonalizatorów idą w kierunku uzyskania maksymalnej wydajności maszyn przy jednoczesnej maksymalnej oszczędności sił ludzkich. Wielką rolę odegra wprowadzenie metody inż. Kowalowa w rolnictwie; badania naukowe w tej dziedzinie prowadzi już Główny Instytut Pracy.

Ireneusz Gwidon Kamiński

Foto—CAF

CZESŁAW SCHABOWSKI

CUD DOMNIEMANY

ZNAJOMY mój, młody aktor opowiedział mi takie zdarzenie:

— Jechałem z Brąszewic do Czarnożył — z dożynek na dożynki. Pierwszy raz w życiu recytowałem wiersze wobec blisko 2.000 chłopów.

W Brąszewicach mówili chłopi, że okoliczne kułactwo zorganizowało trick z „cudami" i w Czarnożyłach może być mała frekwencja...

Było niedzielne, sierpniowe popołudnie.

Przemknęliśmy przez miasteczko Złoczów. Na jego drugim jednak krańcu zatrzymał nas niezwykły widok.

Przydrożny krzyż otoczyło kilka bab o fanatycznym wyglądzie; za ogrodzeniem jakieś podpite chłopisko; bliżej drogi — gromadka rozprawiających mężczyzn; na drodze jeszcze jedna grupka kobiet i mężczyzn; dzieci też było niemało; od strony miasta nadchodzili nowi ludzie, przystawali, słuchali i wzruszając ramionami znów odchodzili. Podszedłem z szoferem.

— Co się stało?

— Obrazek się odświeżył!

— Jakto odświeżył?

— Ozłocił...

— Sam? bez niczyjej pomocy?

— Sam! wczoraj w nocy.

Zza ogrodzenia, poza którym znajdował się krzyż, krzyknął w tej chwili ów podejrzany pijak:

— Na kolana przed cudem!

Aha! — myślę sobie — to jest chyba sufler, może nawet sam impresario tego „przedstawienia"... Trzeba być ostrożny... A mój szofer podnosi rękę, jak milicjant, kiedy zatrzymuje auto i mówi:

— Wolnego, obywatelu! Jak to: my na kolana, a wy na stojaka?

Konsternacja ogólna. Wszyscy dotąd stali, nawet ci okrążający krzyż. Ale „sufler" z jeszcze większym tupetem wrzasnął:

— Naklączeliśmy się dość! całą noc! Jak tylko przy obrazku zajaśniało, przyszlim, uklęklim i modlilim się tyle godzin! BIJ SIĘ W PIERSI!

— Panie obywatelu! — poważnieje mój kierowca. — Czyś pan nie pijany? Nikt z was nie bije się w piersi, a za cóż my mamy się bić?

— Za to, żeście antychrysty...

Szofer rozejrzał się teraz po tłumie. Widać zorientował się, że organizatorzy „cudu" mają w planie prowokację. Wpadliśmy jak mucha w sieć pajęczą. Co teraz powie szofer? Da się ponieść oburzeniu? Nie dał się. Teraz on zaskoczył „suflera" i zgromadzonych ludzi.

— To musi i jakiś ślepiec u was przejrzał, co? Bo przy cudzie chorzy odzyskują nagle zdrowie...

— Akurat! Mają ludzie darmowy ośrodek zdrowia, to się będą kurować u obrazka! — krzyknął ktoś z nowoprzybyłych.

— Zamknijcie pyski — wrzasnął „sufler".

Kierowca korzystając z tego, że ludzie zaczęli spozierać po sobie i trącać się wzajemnie, rzekł mi do ucha:

— Niech im pan coś zarecytuje... Publika, jak znalazł. Że świecą szukać! Ja wiem...

Stuknąłem palcem w czoło, dając na migi do zrozumienia, że ma w głowie niedobrze.

— Jedziemy — zdecydowałem.

Wypuszczono nas; pojechaliśmy.

Po drodze zatrzymywaliśmy się kilkakrotnie, chcieliśmy się bowiem od ludzi dowiedzieć szczegółów. Z informacji złożył się taki obraz.

Krzyż znajduje się na polu znanego tutaj kułaka: bogacz ów za sanacji żył z lichwy, za okupacji z wysługiwania się hitlerowcom, po wyzwoleniu miał bandę i tylko dzięki amnestii uniknął kryminału. Obecnie odbywają się u niego bardzo często pijackie zebrania miejscowych bogaczy i na jednym z nich na pewno obmyślono ów trick z „cudem", aby rozbić okoliczne manifestacje dożynkowe.

Kilkanaście ogłupiałych bab, paru starców i trochę kułackich zauszników, kilkanaścioro ciekawskich dzieci, operetkowa groza i śmieszność — oto rezultat zabiegów naśladowców Lublina...

— Ja bym zaryzykował — wrócił do swojego projektu szofer — powinien pan dać porządnego kontra tym pijanicom kułackim... Gdyby pan zaczął... na przykład... ze Słowackiego; pamiętam kawałek: „Wtem Bóg z Mojżeszowego wychylił się krzaka, spojrzał na te krzyczące i zapytał — „Jaka?"

Zdumiałem się... choć właściwie dlaczego? Szofer jeździ na zebrania i wiece, na odczyty, na występy pisarzy. Słucha i pewnie czyta.

Kiedyś taki — myślę, — to czekaj, już ja ci pokażę, jak się recytuje Słowackiego!

— Zawracamy pod krzyż!

— Taki artysta to mnie się podoba! Z żadnego odcinka walki nie rezygnować! żadnej okazji nie przepuścić! A ma pan chociaż w zapasie coś, co można... i pod figurą recytować?

— Jaki byłby ze mnie artysta... Zawróciliśmy...

Pierwszy oczywiście dostrzegł nas „sufler", ów chłop pijany pod krzyżem. Zaraz też wykrzyknął!

— Wrócily antychrysty!... Otoczyć ich kołem!

Rzeczywiście, ludzie hurmem otoczyli nasz wóz. Sufler pozostał w ogródku pod krzyżem sam. Ale się przeliczył. Nasz bowiem powrót zaciekawił zgromadzonych. Oczekiwali czegoś nowego, dalszego ciągu tego, co przez samo wystawanie nie chciało się posunąć.

Mój kierowca donośnym głosem oznajmił:

— Obecnie pan Chojnacki, artysta teatru łódzkiego zarecytuje...

Jakże silnie odczułem ową magnetyczną siłę, jaką nam udziela wpatrzona w nas, aktorów, publiczność. Zacząłem mówić:

Biada wam, gdy się budzi duch i obudzony
Stoi świeżą krwią nową żywota czerwony,
Gdy okiem błyskawicy na wsze strony błyska
I świat do nowych, wielkich lotów powoływa.
Wyście wynieśli dawne królów prochowiska
Z kościami w trumnach; zamiast krzyczeć: Polska żywa,
Wyście krzyczeli: Niechaj żyje!... z cudzej pracy,
A tył wam szpikowali ołowiem Prusacy.

Umilkłem. Milczenie panowało powszechnie. Nawet „sufler" tak zgłupiał, że otworzywszy usta przebierał tylko palcami. Zastanawiał się być może w

Rys. St. Gierowski

swojej chytrej głupocie, czy to przypadkiem nie sam biskup?

Teraz znów recytowałem.

Wyjdzie stu robotników,
Oborzą miasta grunt,
Wyrzucą łokieć — funt —
Klatki, pełne wróblików,
Otworzą — i przed tłuszczą
Ptaszki na wolność puszczą...
Muzyka nieustanna:
„Wolność! Wolność! — Hosanna!"
Święci staną w katedrze
Trzej... i zawezwą ducha,
Lud księgi praw rozedrze,
Próchno kart porozdmucha —
Weźmie stare sztandary,
Wyprowadzi, jak mary,
Za kościół, na mogiły —
Zapali, by świeciły
Światu dawnymi dzieły,
Błysnęły — i spłonęły.
Bije godzina ranna,
Masy rzekły: „Hosanna!"

Deklamowałem jeszcze kilka wierszy. Nawet babki połapały się wreszcie, że mają do czynienia z t. zw. występem artystycznym. Ale wszystkim podobało się to nowe przeżycie. „Sufler" wylazł wreszcie zza ogrodzenia i począł się oddalać w stronę miasta. A ludzie wołali do mnie:

— Niech pan jeszcze do nas przyjedzie! Do świetlicy!

— Jak tu do was przyjeżdżać — wystąpił teraz szofer — kiedy takie „cuda" wyrabiają kułacy: skoro czas na wiosnę do siewu — to w jakiejś Rawie obrazki się „odnawiają", gdy wieś szykuje się do żniw — to znów Baluty robią kawał, a jak w okolicy dożynki — to w Złoczowie „cudowne" odnawianie się obrazków... Czas, drodzy obywatele pomyśleć nad tym: dlaczego to w zimie taka cisza z „cudami?"...

— Prawda! Racja!

— No tak! — odzywał się ktoś z drogi — bo kto by w zimie, na mróz, przylazł tutaj ślęczeć...

— Czas więc obywatele, aby się w głowach zaczęło odnawiać! Do widzenia!

— Do widzenia! czekamy! w świetlicy!

Gdyśmy byli na pełnym gazie, szofer odwinął z gazety, którą trzymał w kieszeni, klucz francuski.

— Co pan tam trzymał w tej gazecie?

— Co?... Kułak trzymał za plecami kamień, to ja — klucz francuski, panie!

Czesław Schabowski

STEFAN GĘBALA

Czasu „bezkrwawej" rewolucji

KIEDY w lipcu 1944 r. zaczęła się emigracja oddziałów partyzanckich, wtedy już każde dziecko wiedziało, że zza Wisły na wschód idą oddziały AL, a wszystkie inne uciekają za Wisłę.

W lipcu przyszedł i stanął nad Wisłą front i wtedy dała się poznać także „cywilna" połowa tamtej wojującej organizacji. Manifest PKWN-u przynieśli i interpretowali towarzysze z PPR. W styczniu 1945 r. front przesuwał się daleko na Zachód, na miejscu zaś czekała na dokończenie reforma rolna — i wtedy zaczęło się. Zaczęła się rzekomo „bezkrwawa" rewolucja. Przyczajone faszystowskie siły, bandy nieuświadomionych politycznie a wrogo nastawianych nygusów na przemiany społeczne, pojawiły się niespodzianie i zaczęły swe krwawe żniwo.

Ktoś kto kierował nimi miał początkowo bardzo prosty plan, terrorem utrzymać chłopską bierność, „niech się dzieje co chce", byle odciągnąć od dokonywanej reformy rolnej, odstraszyć od przejmowania podziału ziemi przy pomocy niezawodnego rzekomo środka: pistoletu... Okazało się jednak, że byli ludzie, którzy nie przelękli się strzału zza płota, byli i tacy, którzy umieli to głośno powiedzieć... Tow. Jan Tomaszewski mawiał na wiecach: „Zabiją mnie, to na moje miejsce stu nowych przyjdzie"... Poległ Tomaszewski z bronią w ręku, ale jego śmierć nie zahamowała biegu wydarzeń... Nie ocaliła dworów i nie odstraszyła chłopów od orki na polach, na których od wieków nie dla siebie pracowali... Tow. Jacek (Rybak Jan) murarz, ani powiedzieć sobie nie pozwolił, że jest ktoś kto dybie na jego życie...

Zamęczono go i zwłoki popłynęły Sanem. Ob. Piętak oberwał kulą w nogę, ale podziału dworskich gruntów dokonano... Dzień w dzień słyszało się o aktach dzikiej zemsty, zemsty na oślep, kiedy to już ten „genialnie prosty plan" zawiódł. — Zabili ciotkę Zielińskiego w Majdanie Zb.

Zabili Józefa Szewca, komendanta dopiero co uformowanego ORMO. Na miejsce zabitych przychodzili nowi, również odważni i nieznający lęku podczas, gdy tamta, druga strona rozpadała się... Nazbyt pobłażliwie traktowaliśmy tamtych, zawieszaliśmy paragrafy Kodeksu Karnego, aby stosować perswazję. Ale to tłumaczenie z dnia na dzień utwierdzało nasze zwycięstwo...

Stefan Gębala

JAN JELONEK

Wielka karta ludowładztwa

Gdy czytam art. 38 i następne projektu Konstytucji, które mówią o Radach Narodowych myślę o własnej gminie, o Porąbce, o tym, ile to spraw, niezałatwionych przez lata całe przez przedwojenną administrację, załatwiliśmy już zgodnie z potrzebami mieszkańców.

I tak, od 1920 roku gromada Porąbka czyniła starania o podział gminy Olkusko-Siewierskiej, bo było za daleko do siedziby gminy i sprawy porębiaków były wciąż niezałatwiane. Wpływ kapitalistów węglowych nie pozwolił na usamodzielnienie się części gminiaków. Aż dopiero w roku 1949 Władze Polski Ludowej uznały potrzeby miejscowej ludności i gmina została podzielona ku naszemu zadowoleniu.

Przez piętnaście lat przedwojennych gromada Porąbka czyniła starania o doprowadzenie wody z rurociągu Maczkowskiego, biegnącego przez tereny gromady. Niestety założenie wodociągu do Porąbki nie opłacało się ówczesnej dyrekcji i akcjonariuszom. Dopiero dzięki opiece i trosce Gminnej i Powiatowej Rady Narodowej gromada Porąbka w gminie Kazimierz od 1949 roku systematycznie powiększa sieć wodociągową ku ogólnemu zadowoleniu i zdrowiu mieszkańców.

I znów, od blisko 30 lat zmorą porąbskiego rolnika był fakt obniżania się terenu łąkowego i zatapianie całej przestrzeni łąk i pewnej części pastwisk. Gospodarczo gromada podupadała coraz bardziej i doszłaby do zupełnej ruiny, gdyby nie fakt, że w Polsce Ludowej kopalnie węgla zostały upaństwowione. Prywatni kapitaliści ani słyszeć nie chcieli o odwadnianiu łąk i budowie urządzeń oczyszczających ścieki kopalniowe, zatruwające rzekę i resztki traw, jakie jeszcze gdzieniegdzie pozostały. Dopiero Władza Ludowa w postaci Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i Dąbrowskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego sprawiły, że łąki zostały odwodnione i uprawione, a ścieki kopalniowe przestały zatruwać wodę w rzece.

W okresie międzywojennym właściciele kopalni Kazimierz nie zbudowali ani jednego domu dla robotnika, nie licząc kilku domów dla urzędników. Natomiast w ciągu tych kilku lat obecnych rządów przy kopalni Juliusz powstała wspaniała kolonia 138 domków fińskich i 9 bloków mieszkalnych, umieszczonych w lesie sosnowym i to wszystko ze wszelkimi wygodami, o jakich przed wojną robotnikowi się nie śniło.

Przykładów takich z naszego terenu możnaby przytaczać na setki, ale i te wystarczą dla zobrazowania obecnego ludowładztwa.

Jan Jelonek

Z prasy radzieckiej

Krytyka radziecka

o aktualności Wiktora Hugo

DRUGI Światowy Kongres Obrońców Pokoju w 9-tym punkcie orędzia do ONZ wskazał na to, że umacnianie kulturalnej więzi między narodami stanowi jeden z podstawowych warunków dobrosąsiedzkich stosunków, wytwarza atmosferę wzajemnego zrozumienia i przyśpiesza wymianę najlepszych osiągnięć myśli ludzkiej. Zgodnie z tym apelem, przy Światowej Radzie Pokoju została utworzona specjalna komisja międzynarodowa, zajmująca się sprawami kulturalnej łączności narodów. Komisja postawiła sobie za cel stworzenie podobnych instancji w poszczególnych krajach i ułożenie programu, który zainteresuje żywo wszystkie narody, a w swojej realizacji praktycznej, skupi pracowników kultury z całego świata. Światowa Rada Pokoju poleciła komisji zwrócić szczególnie baczną uwagę na obchody rocznic wielkich twórców narodowych, na ten kulturalny dorobek przeszłości, który decydował w walce o postęp i szczęście ludzkości. M. in. na wniosek Chin Ludowych postanowiono święcić w szeregu krajów 150 rocznicę urodzin wielkiego pisarza francuskiego Wiktora Hugo, na wniosek I. Erenburga zdecydowano obchodzić w skali światowej 500-lecie urodzin wybitnego malarza Leonardo da Vinci, na wniosek delegacji włoskiej uchwalono uczcić szeroko 100-lecie śmierci znakomitego pisarza Mikołaja Gogola.

26 lutego br. upływa 150 lat od chwili, w której przyszedł na świat wielki pisarz francuski epoki romantyzmu, Wiktor Hugo.

Nieprzemijające wartości walki Hugo o postęp, siłę jego politycznego demaskatorstwa, obróconego przeciw reakcji, żarliwe orędownictwo w sprawie niedoli mas pracujących, wielokrotne apele w imię pokoju — przypomina właśnie krytyka i prasa radziecka.

M. Czerniewicz w 2 numerze miesięcznika „Oktiabr" pisze: „Autor najpopularniejszych powieści społecznych, którymi zaczytywał się cały świat, płomienny polityk i poeta - trybun, dramatopisarz - nowator Wiktor Hugo całą swą twórczością utwierdzał aktywną rolę sztuki w walce z reakcją. Był wrogiem sztuki „czystej", żywił przekonanie, że literatura musi przynosić ludziom pożytek. Bojowa, potężna sztuka Hugo cała oddana była w służbę narodu i broniła jego świętych praw. Piewca niedoli ludu, Hugo był optymistą, podobnie jak sam lud. W ludzie odnajdywał autor „Nędzników" piękno, siłę, bohaterstwo, zdrowie i radość życia. Lud stanowił dla niego źródło afirmacji życia, patosu, niewyczerpanej wiary w triumf sprawiedliwości społecznej w przyszłości. Hugo nigdy nie zamykał się w kręgu wąskiej działalności literackiej. Żył długie lata i był świadkiem ogromnych historycznych wydarzeń, rozgrywających się we Francji. Obserwował, jak ludowa Francja bohatersko walczyła o wolność na barykadach 1830 i 1848 roku".

Ale Hugo nie był niemym obserwatorem, nieczułym widzem wielkich historycznych wydarzeń. Walce ludu dopomagał piórem, jego serce wtórowało salwom barykad, a w chwili klęski — jego słowo wzywało do bohaterskiego wytrwania, brzmiało jak manifest rewolucyjnej nadziei.

Hugo jest sympatykiem rewolucji lipcowej 1830 roku, głosi hasła walki z tyranią. „Wschodnie motywy", „Ostatni dzień skazańca", wielki dramat romantyczny „Hernani" przepojone są szczerą sympatią dla ówczesnych ruchów wyzwoleńczych. Na wypadki lipcowe reaguje Hugo odą pt. „Do młodej Francji" oraz „Hymnem na cześć ofiar lipcowych dni". W 1831 r. znakomity pisarz ogłasza głośną powieść „Dzwonnik z Nôtre Dame", w której literatura francuska po raz pierwszy otrzymuje tak bogaty, jaskrawy i sugestywny obraz życia dołów społecznych. W 1832 r. Hugo pisze antymonarchistyczną, wkrótce też zabronioną sztukę „Król się bawi". W okresie Wiosny Ludów Hugo zajmuje pozycję republikanina. Po zwycięstwie reakcji uchodzi na emigrację. W 1852 r. Napoleon III ogłasza dekret, skazujący na banicję Hugo oraz kilkudziesięciu delegatów Zgromadzenia Narodowego. Na wygnaniu powstały wielkie powieści Hugo: „Nędznicy", „Pracownicy morza" oraz „Człowiek śmiechu".

Po upadku Napoleona III wielki pisarz wraca do Paryża, solidaryzuje się z ludem w okresie Komuny, a po jej upadku piórem broni komunardów przed bestialstwem Wersalczyków. Wielkie przeżycia tego okresu przekazuje w poetyckim dzienniku z lat 1870 — 1871 pt. „Groźny rok". W roku 1874 wydaje powieść „Rok 1793", w której odnajdujemy aluzje do niedawnej walki wyzwoleńczej ludu, aczkolwiek zostały one umiejscowione w okresie Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Dla potomnych, dla późniejszej walki wyzwoleńczej narodu francuskiego Hugo stał się sztandarowym piewcą wolności, orędownikiem ludzi prostych. Aczkolwiek obraz mas pracujących w jego powieściach nie zawsze odznacza się ujęciem klasowym, to jednak posiada ogromną dodatnią wymowę historyczną, ogromne znaczenie w walce postępu z reakcją. Hugo potrafił ukazać żywych bohaterów proletariatu, ich moralną siłę, ich wiarę w nadejście sprawiedliwości społecznej, ich walkę z nieprawością panującego ustroju.

Protest socjalny Hugo, dążenie do wolności ludu i sprawiedliwości społecznej, potrafiły pobudzić przyszłe pokolenia do walki, zapłodnić nadzieją zwycięstwa, siłą wytrwania w czasach najgroźniejszej reakcji. Klasa robotnicza Francji czci w postaci wielkiego pisarza jednego ze swych poetów. Przywódca Komunistycznej Partii Francji M. Thorez wyznaje w swej autobiografii, że z zachwytem czytał „Pracowników morza" i wiele się z nich nauczył. E. Jewnina w pracy pt. „Literatura francuskiego ruchu oporu" stwierdza, że w okresie zmagań z najeźdźcą hitlerowskim twórczość Hugo stanowiła natchnienie i sztandar walki. Patriotyczna i wolnościowa poezja Hugo wielokrotnie publikowana była w nielegalnie wychodzącej „Humanité". Robotnicy patrioci przypominali płomienne strofy Hugo, wzywające Francję do walki z Prusakami w obronie niepodległości narodowej. W twórczości poety ludu paryskiego szukali natchnienia pisarze komuniści. Jean Laffite zatytułował swą książkę, poświęconą walce z hitleryzmem słowami Wiktora Hugo: „Życie to walka". W ten sposób nowa generacja bojowników nawiązała do walk wyzwoleńczych przeszłości. Krytyka radziecka, powołując się na wystąpienie Hugo, podkreśla żywe i wielkie tradycje narodu francuskiego w walce o niepodległość i sprawiedliwość społeczną.

Walka o sprawiedliwość społeczną toczy się we Francji dalej. Krytyka i prasa radziecka wskazują na olbrzymią aktualność twórczości Hugo dzisiaj; na te cechy działalności i twórczości wielkiego romantyka i bojownika ludu, które zachowały swoją mobilizującą siłę. „Dzisiaj — pisze M. Treskunow w posłowiu do radzieckiego wydania dzieł Hugo — ze szczególną siłą rozbrzmiewają apele Hugo w obronie pokoju i demokracji, gniewne słowa piętnujące kapitalizm, który dla utrzymania swego panowania zdąża nieustannie do wojen i skazuje przez to narody na niezliczone ciężary i cierpienia".

W 1849 r. odbywał się w Paryżu Kongres Pokoju, na którym Hugo wystąpił z gorącym przemówieniem. Powiedział wtedy, że dzieło pokoju stanowi cel, do którego ludność dąży w sposób nieunikniony. Wielki pisarz wyraził przekonanie, że nadejdą czasy, kiedy „wszystkie narody będą złączone wielkimi ideałami, zamieniwszy wzajemne wojny na współpracę". Hugo potrafił rzucić w twarz reakcji słowa oskarżenia i protestu, które do dziś nie utraciły swej siły: „Redukujcie, jak chcecie, listę wyborców, wykreślajcie całe miliony naszych obywateli, pozbawiajcie Francuzów praw do politycznej równości! Nigdy nie wykorzenicie tej antypatii, jaką wzbudzacie w narodzie. Nigdy nie wykreślicie z pamięci ludzkiej tych fatalnych błędów, w jakie obfitują wasze rządy. Nie jesteście w stanie zatrzymać historii, nie cofniecie tej godziny, która już wybiła, nie zatrzymacie ruchu ziemi i nie powstrzymacie wzrostu idei demokratycznych".

Na wygnaniu Hugo chwyta za pióro publicysty. Jego płomienne wystąpienia w obronie walki wyzwoleńczej Włoch, Grecji, Chin do dziś pulsują żywą krwią, oskarżają kapitalizm, zapowiadają wolność narodów. „Niech rosyjski chłop — pisze Hugo patriota i internacjonalista — niech egipski fellach, niech proletariusz, niech hinduski parias, niech skazany na niewolnictwo murzyn, niech uciskany biały człowiek natchnie się nadzieją!"

Wybuch Komuny Paryskiej Hugo powitał entuzjastycznie. Pisał wtedy: „Prawo Komuny — prawo Paryża zwycięży wcześniej czy później!" W 1877 r. Hugo występuje wśród lionskich tkaczy. Mówi wtedy: „O czym marzą królowie? O wojnie. O czym marzą narody? O pokoju. Narody żywią wobec siebie uczucia miłości i łączą się". Hugo nawołuje, aby we wspólnej obronie pokoju zniszczyć grozę wojny. „W obecnej chwili — oświadcza — szykuje się starcie między wojną, do której dąży przeszłość, a pokojem, którego pragnie teraźniejszość... Obywatele, pokój zwycięży".

Pokój zwycięży — ten okrzyk powtarza dziś ogromna większość narodu francuskiego. Louis Aragon w artykule pt. „Hugo, przyszłość, pokój" słusznie utrzymuje, że wielki twórca „Nędzników" należy dziś do narodu francuskiego, do klasy robotniczej, nie do burżuazji, która sprzedała kraj imperialistom amerykańskim.

W Paryżu stał pomnik Hugo. Został on zburzony przez hitlerowców. Minęło 7 lat, ale pomnik nie został odbudowany. Dla rządców zmarshallizowanej Francji ta sprawa jest obojętna. Na cokole stoi reklama amerykańskiego „Forda". Ale Hugo posiada pomnik w sercach francuskiego ludu — pomnik wielki, trwały, nie do obalenia. Podkreślając aktualne znaczenie twórczości Wiktora Hugo dla obecnej walki narodu francuskiego o pokój, krytyka radziecka trafnie podkreśla: „Europa, o której marzył Hugo, nie ma nic wspólnego z Europą Paul Renaud, Mocha, de Gaulle'a, z Europą Adenauera, Churchilla i Eisenhowera. Ale podczas, gdy marzenia Hugo były marzeniami utopisty, to nasza pewność, że pokój zwycięży, oparta została na realnych przesłankach, na wspólnych wysiłkach narodów, które powinny i mogą okiełznać podżegaczy wojennych".

Grzegorz Timofiejew

Gazetka gminna

Gminna i gromadzka sypialnia

Snieg śniegiem a do siewów wiosennych czas już się szykować. Weźmy na ten przykład nawozy sztuczne. Jak nie dopilnujecie, to wam się tak wydarzy jak naszej gminie w ubiegłej jesieni.

Po Uchwale Rządu o obowiązku zwiększania wydajności z ha ruszyli się chłopy za nawozem. Kredytowe nawozy były ale wolnorynkowych nasza spółdzielnia do 15 września nie miała i po 15-tym też nie miała. Toś-

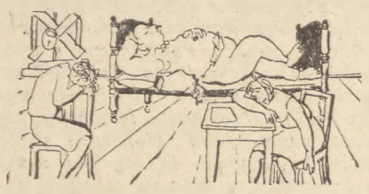

my już na pewno wiedzieli, że trzeba szukać nawozów w innych GS-ach. I jeździlim do Kuczbork, Niechłoniu, Szreńska, oddalonych o 20 km., a nawet do Działdowa i Lidzbarku, dokąd jest 30 km. drogi.

I co powiecie? Przed końcem września nadeszły dwa wagony superfosfatu do naszej GS. Ale mało kto skorzystał, bo żeby nie zawieść Rządu jużeśmy byli po tych pielgrzymkach do Kluczborka, Działdowa i Lidzbarku. I co powiecie? Na początku października znów nadszedł nowy transport superfosfatu. W sam raz, kiedy na polach z zasianego zboża ozimego wypatrywaliśmy już kiełków.

Powiecie, a to niedbalstwo zarządu GS-u! Mówcie, będziecie mieli połowę racji. Bo gdzie była kontrola naszych społecznych organizacji? Dlaczego chłopi, słusznie nie ufając naszemu GS-owi, popadli w panikę i dawaj w te pielgrzymki za nawozem? Dlaczego? Chcecie wiedzieć? To wam powiem. Na ten przykład w gromadzie Dobropolu jest koło ZSCh. Prezesem wybrany został Franciszek Zubek. Od roku ten prezes nie zwołał ani jednego zebrania. Spytajcie go kto wchodzi w skład zarządu — nie wie, ilu członków ma koło — nie wie, kto jest w komisji rewizyjnej — nie wie. Śpi sobie jak suseł. Spróbujcie go obudzić przez sekretarza gminnego ZSCh. Nie uda wam się. Sekretarzem jest jego córka, Janina. Prezes otrzymuje gazetę Związkową i inne pisma instrukcyjne, które powinny znaleźć się w rękach członków koła. Ale pan prezes nie upowszechnia prasy związkowej, sam przejrzy to i owo poczem uciera nią tyłek. To samo jego córka. Otrzymuje wszak różne broszury o hodowli, budowie silosów, po i przed plonach, a nic z tego nie daje na Koła.

Najlepiej byłoby zbuntować baby na takiego sekretarza gminnego w spódnicy, ale znów nie ma sposobu, bo prezesem gromadzkiego Koła Kobiet jest druga córka naszego Zubka, Zofia i koło śpi.

Jaki z mojej gawędy wynika moral? Że choć śnieg na polach, czas już gotować się do siewu wiosennego. A tak szeroko i gruntownie, żeby oczyścić każdą gminę pod siew od Zubków i innych prezesujących kadłubków.

Jan Łuka

Sprawa rodzinna

W Kłokowicach, gm. Frydrypol żyje sobie starowinka, matka sołtysa, nazwiskiem Baran Maria. Jest tam też szwagier sołtysa, Makar, który znowu ma za szwagra, niejakiego Kurchona.

Do tego Kurchona przyszła starowinka. — Zawieźcie moje zboże na planowy skup. A było tego 620 kg. Zawiózł i basta. Aż tu pod koniec października napomnienie przychodzi do staruszki. Biegnie nieboga do zarządu naszego Koła ZSL-u i w płacz — oddałam przecie, najpierwsza prawie, pomóżcie!

Zwołaliśmy zebranie gromadzkie. Prezes Wojciechowski pyta —

— Jak tam u was Kurchon, odstawiliście zboże?

— A jakże, z nadwyżką.

— Porządny z was chłop, no to dajcie dla porządku kwity Marii Baran.

— Baranowej kwity?... a to Makara sprawa.

— Od Kajafsza do Annasza... Makar, co się chowasz, dawaj kwity.

— Mnie się pytacie? gadajcie ze sołtysem

— A pan sołtys, co powie?

— To nasze rodzinna sprawa, nie ma o czym gadać.

— Słuchajcie ludzie — powiada wówczas prezes Wojciechowski — pan sołtys mówi, że to rodzinna sprawa. Pan sołtys prawdę mówi. Nie wierzycie?

Wszczął się tumult.

— Wobec tego muszę wam dowieść, jak prawdziwie rzecz ujął pan sołtys.

— Widzicie, że prezes Wojciechowski mnie popiera, to na tym można już punkt zakończyć i przejść do następnego, o co jako sołtys wnoszę.

— Kiedy jeszcze was nie poparł, boście mu przerwali — zawołałem na cały głos.

— No to niech popiera tylko wedle tego, co rzekłem, rodzinna sprawa i tyle.

— A jakże, panie sołtysie — znów zebrał głos prezes Wojciechowski. Wasza matka, staruszka, prosiła waszego szwagra, Kurchona, aby odwiózł zboże na skup z jej gospodarki. I Kurchon odwiózł, razem z drugim szwagrem, Makarem, prawda? Sprawa — jak widzicie w rodzinie. Odwieźli i wzięli kwity. A w kwitach wyszło na to, że Kurchon zdał z nadwyżką, a Makar akurat, ile mu wypadało. Po kwitach zaś Baranowej nie zostało ani śladu, rozumie się, ani śladu... w rodzinie. Bardzo musiało zdziwić i zaniepokoić Baranową, kto to tak zmajstrował... w rodzinie. Szwagier Kurchon, szwagier Makar? I nie bali się jej syna, **sołtysa?** Ale zapomniała stara Baranowa, że jej syn też należy do rodziny. — Ty, Kurchon dodaj se nadwyżkę ze zboża babki, ty Makar, wyrównaj z babki zboża swój plan, a jak będą starą przyciskać upomnieniami, powiemy — starowina, rady dać sobie nie może, oszczędzajcie ją, syn — sołtysem, rodzina wywiązała się, jak należy, czegoż chcecie od babuszki?

— No to wam już wyjaśnił prezes Wojciechowski, że w rzeczy samej rodzinna sprawa, więc jako sołtys wzywam absolutnie do następnego punktu porządku dziennego.

— Oczywiście, panie sołtysie — odezwałem się słodziutko. W następnym punkcie mamy sprawę ukarania zalegających ze skupem i oszukujących w skupie.

Ludwik Mazurek

Kto z kim ma prawo?

W poprzednim numerze wyczytałem w Gazetce Gminnej artykulik pt. „Nie nada się?" i apel redakcji, aby napisać, czy u nas w okolicy też są tacy nauczyciele, co „schodzą w lud" i dlatego z chłopką się nie ożenią. W naszych stronach nie mogę tego powiedzieć o nauczycielstwie, ale mam kilka innych przykładów, z których wynika, jak na wsi ostro stają, można by powiedzieć — w walce — sprawy, kto z kim ma prawo się żenić. Stary konflikt polegał na tym, że za „pana" i bogatego gospodarza się nie wydasz. A teraz? Bywa jeszcze rozmaicie. Ale nawet, kiedy po staremu to już z pewną odmianą.

Na przykład. Jedna u nas robotnica rolna kocha się w synu bogatego chłopa. Rodzina jej odradza. Ona też się waha dlatego, że on ma „oprócz tego zawód w ręku, jest chemikiem w pobliskiej Przetwórni Owocowej".

Inna znowu, też biedna, ma narzeczonego z zasobnej rodziny. Rodzice jej krzywo patrzą na ten mariaż. „Kiedyś będzie ci wymawiał, że wziął biedną dziewczynę, czekaj na takiego, jak sama jesteś".

Ale dziewczyna upewniła się w tym, że narzeczony „mocno się zastanowił" i „majątkiem" ją nazywa, więc postanowiła wyjść za niego za mąż, bo i tak „jak dojdzie do spółdzielni produkcyjnych, to on nie będzie więcej znaczył ode mnie".

A teraz z innej beczki. Młody leśniczy i dziewczyna z małej gospodarki. Matka leśniczego (z miasta) chce dla syna... nauczycielki. Ale młody przez trzy miesiące był słodkim narzeczonym, dopiero kiedy miało dojść do ślubu, poprosił o przeniesienie służbowe. Zwiał. Dziewczyna przejrzała na oczy. Uznała teraz za słuszną — ocenę braci, którzy „służą Polsce Ludowej" i nie chcieli zgo-

dzić się na leśniczego, hulakę i pijaka, bo bracia „tego nie uważają".

A znowu o dziewczynę, która dochodzi do liceum, stara się chłopak od sąsiadów. Dziewczyna przeżywa konflikt ale jaki? On nie może, jak powiada — chwili żyć bez jej widzenia, i przesiaduje całymi popołudniami w domu jej matki. Dziewczyna więc z jednej strony niepokoi się o maturę „aby mu wstydu nie zrobić", a z drugiej gotowa była już zrezygnować ze szkoły, aby małżeństwo nie przepadło. W tej sprawie sam byłem doradcą. Jemu rzekłem — nie przeszkadzaj dziewczynie, a jej — kończ liceum, a po tym się pobierzcie i zakładajcie... spółdzielnię produkcyjną.

Stanisław Łopach

Awanse

Chciałbym Was zapytać, dlaczego to gromada Tapadły (gm. Brójce) mogła w akcji jesiennej zorganizować zbiorową odstawę zboża i kartofli? Dlaczego mogła zakończyć wykonanie planów rocznych (zboże, kartofle, podatki, Pożyczka Narodowa) do 17 listopada? Dlaczego wypełniło plan kontraktacji trzody chlewnej na I i II kwartał 1952 r. z nadwyżką?

Dlatego proszę Was, że ma zespół aktywistów: Balcerzaka, prezesa Koła ZSL-u,, Pietkiewicza, sołtysa i przewodniczącego Koła ZSCh (teraz awansował na członka powiatowego zarządu ZSCh) oraz nauczycielkę Jabłońską, która w Kole Gospodyń wiele znaczy.

Jak się rozglądam po naszej okolicy to aż serce rośnie. Tylu w jesiennej robocie pokazało się dzielnych, ofiarnych i mądrych chłopów. I co najważniejsze, nie pozwoliliśmy na to, aby po pochwałach, odznaczeniach i premiach zniknęli z powrotem w krótkiej pamięci ludzkiej. Taki Szymonik Jan z Woźnik, aktywny chłop małorolny został wybrany na zastępcę przewodniczącego GRN w Ryczowie. Mirocha Jan z Marcówki został Przewodniczącym GRN w Stryszowie. Średniorolny chłop Rusin Wł. vice - przew. GRN w Wieprzu, Ryba J. z Kleczy, który doprowadził kontraktację trzody chlewnej w swej gromadzie do 125 proc. za I i II kwartał 1952 r. został wybrany na walnym zjeździe prezesem powiatowym ZSCh, Sikora Al., który swą aktywną pracą i walką z kułakami pociągnął gromadę do przedterminowego wykonania skupu, jest teraz instruktorem przy PKW ZSL-u.

Oj, mógłbym tak wyliczać i wyliczać te awanse, w których chłopi na gminach i na wsiach widzą spełnianie się ludowładztwa.

Klemens Kleczko

Aktywista

Aktywista po mojemu to np. taki Jakubiec St. Nie dlatego, że przewodniczący Koła ZSL-u w Twardorzecze. Ale dlatego, że godny jest prezesować Kołu. Bo w aktywiście „musi coś siedzieć" mocniej niż u innych. U Jakubca — wiadomo — zdecydowany zwolennik spółdzielczości! I to stanowi o jego sile i mądrości. W jesiennej akcji potrafił przez koło zmobilizować całą gromadę do kontraktacji trzody chlewnej tak, że plan kontraktacji został wykonany przez wieś na cały rok 1952 z nadwyżką 14 sztuk.

A dlaczego np. Mika Józef potrafił sam na swojej wsi Juszczynie zakontraktować u chłopów aż 41 sztuk? Bo miczurynowiec! I ludzie czują, że w nim „siedzi coś więcej", niż u nich.

A taki Curyło Piotr. Jak on wyszedł na aktywistę? Chłop był bezpartyjny i małorolny, ale z takich, co swego zrażenia nie ukrywają. Toteż wypowiadał skargi i żale chłopów na prezesa Koła ZSL-u w jego wsi Bożęcinie oraz na sekret. GRN i sekr. GKW ZSL-u Gulika St. I miał rację. W rodzinie bogaczy Gulików pokazało się, że Gulik Jan tak młócił chłopom swoim agregatem, że 60 proc. ziarna zostało w słomie, co potem wytrząsał do swojego sąsieka. Jak to wyszło na wierzch to na zebraniu chłopi wygarnęli nowe oskarżenie: Bogacze Gulik, Oleksy, Walczak, Rębacz mają porozbijane grunta między członków swoich rodzin i dlatego świadczą na rzecz państwa mniej, niż im się należy. A znów prezesem Koła ZSL-u w Bożęcinie okazał się były sanacyjny oficer. PKW zdjął jednego i drugiego fałszywego działacza i szkodnika. Wtedy Curyło, który w akcji skupu na własną rękę prowadził energiczną agitację za przyśpieszeniem sprzedaży, zgłosił wniosek o przyjęcie go w szeregi ZSL-u. A w siedem dni później zorganizował nowe Koło ZSL-u w gromadzie Bielcza, gdzie dotąd nie było ani partyjnego, ani naszego koła. PKW powołało go też zaraz na instruktora powiatowego.

Piotr Rochoń

Poprawa w Żłobnej

Co dzień
Nadobna wódeczką gości,
Przeróżne
gminne znakomitości.
Nadobna gośćmi bardzo zajęta —
Jakże
Obsłużyć może klienta?!
Tfu! spluwa klient
I drzwiami trzaska:
„A to sklepową mamy,
Do dlaska!..."
Prezes ZSCh-a
Wielbi Nadobną
W księdze zażaleń
Ktoś skargę skrobnął.
Bardzo wzburzyła prezesa
Skarga:
Ze ktoś — opinię Nadobnej —
Szarga!
Nieład na półkach
Nie-ład w rachunkach
(niemałe „manco"
Na pewno w trunkach!)
Rozdział towarów —
Gdzie?
W magazynku
(Często je spotkasz
Potem — na rynku)

. . . . . .

Ktoś się użalił
W PZGS-ie
Jaka swawola
W Żłobnej — dzieje się.
I oto — przyszło pismo żałobne:
„Przerwać igraszki Julii Nadobnej".

Irena Mazurkiewicz

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

WIESŁAW JAŹDZYŃSKI

Rozmawiamy z korespondentam

KTO I CO CZYTA?

Rys. H. Jarosz

W ostatnich tygodniach napłynęło do Redakcji kilkadziesiąt korespondencji o pracy bibliotek wiejskich. Jest w tym fakcie wiele radosnego, bo w całokształcie problemów, poruszanych przez terenowych korespondentów, sprawy kultury nie zajmowały dotąd, niestety, poczesnego miejsca. Pisano do nas z terenu, dotykając głównie zagadnień produkcyjnych, pokazywano bogate przejawy walki klasowej, atakowano ostro nadużycia, odstępstwa od zasad ludowej praworządności, kilka tomów można by złożyć z korespondencji, ilustrujących walkę o socjalistyczny handel na wsi.

Czyżby więc kilkadziesiąt wspomnianych korespondencji, poświęconych głównie sprawie bibliotek i czytelnictwa, oznaczało korzystną zmianę, czy można spokojnie sądzić, że rosnącemu na wsi czytelnictwu towarzyszyć będzie czujność i opieka terenowego pisarza? W świetle otrzymanego materiału wypada odpowiedzieć — i tak i nie.

Poszczególni korespondenci wykazują wiele troski o zagęszczenie sieci bibliotek. Karendał Zdzisław dopomina się o zorganizowanie gromadzkich punktów bibliotecznych w gminie Nierzków, pow. Miechów. Z jedynej gminnej biblioteki korzystają tylko najbliżej położone wsie, dla dalszych, odległych nieraz o kilkanaście kilometrów, książka jest praktycznie niedostępna.

Inni zwracają uwagę na szereg nierozwiązanych jeszcze trudności organizacyjno-technicznych i kadrowych w pracy bibliotek. Oto w Ruskich Piaskach (gm. Zawodzie) ludzie przeczytali już wszystkie książki, a nowych brak. Oto w Wiązownicy pod Jarosławiem bibliotekarzem jest kilkunastoletni chłopiec „w piasku jeszcze się bawi, a nie kultura mu w głowie". Oto w gromadzie Kadłub, gm. Błotnica, pow. Radom, GRN nie znalazła odpowiedniego lokalu na pomieszczenie książek, z tego powodu czytelnictwo kuleje. Gdzie indziej znowu bibliotekarz nie przestrzega godzin wypożyczania książek, wskutek czego czytelnicy zastają najczęściej zamknięte drzwi.

Są to oczywiście sprawy ważne i dobry to znak, że korespondenci strzegą pilnie formalno-organizacyjnej strony naszych bibliotek wiejskich. Ale równocześnie musi budzić niepokój fakt, iż na ogół poza te problemy nie wychodzą.

Zapytajmy dla przykładu, co mówią korespondencje o chłopskich odbiorcach książek? Na tym odcinku będziemy mieli do czynienia wyłącznie ze źle rozumianą statystyką i sakramentalnym oświadczeniem, że czytelnictwo wspaniale się rozwija. Tymczasem nawet przedstawiony przez korespondentów materiał poznawczy do takich optymistycznych wniosków bynajmniej nie uprawnia.

Oto korespondencja zatytułowana — „Dobrze pracuje biblioteka w Hażlachu". Dowiadujemy się, że opisywana instytucja żyje „przede wszystkim zasługą jej kierowniczki Emilii Jośkowej, która dzięki ofiarnej i sumiennej pracy zyskuje coraz więcej czytelników". A jacy to czytelnicy? ...„w większości spośród młodzieży".

Korespondent z gromady Michniów pisze z entuzjazmem o działalności gminnej biblioteki w Suchedniowie (pow. Kielce). W sumie ponad 1.000 czytelników. Istotnie nieźle. Źle jednak, że autora korespondencji nie zaniepokoiło to, co sam stwierdził: „2/3 czytelników stanowi młodzież, a 1/8 dorośli... Personel biblioteki jest bardzo uprzejmy i sprawnie obsługuje czytelników. Toteż do biblioteki spieszą wszyscy". Jakże **wszyscy**, kiedy w nieproporcjonalnie dużym procencie spieszy młodzież, czytająca przecież nie tylko z chęci, ale i ze szkolnego obowiązku! Trudno zaiste o bardziej jaskrawą sprzeczność w dwóch napisanych obok siebie zdaniach.

Podobny stan, polegający na niedostatecznym wciąganiu w czytanie „dorosłych" stwierdziła znaczna część korespondentów, nie zdając sobie sprawy, że nie jest to zjawisko optymistyczne. Uśpiona jest czujność korespondentów i wyraźne niezrozumienie zagadnienia czytelnictwa, skoro brak meldunków alarmujących i wzywających do akcji popularyzowania czytelnictwa pośród drobno i średniorolnych chłopów. Źle się dzieje, gdy korespondenci upajają się statystyką „jako taką", nie wnikając w układ klasowy czytelników, w dynamikę rewolucji kulturalnej, w przyczyny jej hamowania.

Zauważyć można w korespondencjach daleko poważniejszy brak, i na ten brak należy zwrócić baczniejszą uwagę. Czytelnictwo bowiem ma swoją nie tylko ilościową stronę, ale także **jakościową.**

Jakże mało mówi nam fakt, że gminna biblioteka w Łapczycy liczy sobie 600 czytelników, a cały powiat Radzyń posiada na terenie gromad i gmin 12.500 tomów. Z ilości tomów w bibliotece nie wynika mechanicznie liczba czytelników, a ta z kolei nie tłumaczy jeszcze społecznych skutków, płynących z zetknięcia się z książką. Tylko jeden korespondent na kilkudziesięciu wymienił nazwiska przodujących czytelników w gminie. A chcielibyśmy widzieć przede wszystkim, jakie książki są czytane, i przez kogo, jak komentowane? Na ile zdobyła serca czytelników współczesna powieść o walce klasowej na wsi, powieść przedstawiająca socjalistyczną przebudowę wsi. Czujność i troska korespondenta musi się skupić przede wszystkim na czytającym człowieku. Popatrzmy na to, stawiane naszym terenowym współpracownikom, zadanie z innej strony.

Istnieje przecież coraz bardziej zwarta opinia gromady, ujawniająca się przy układaniu planów gromadzkich, czy w okresie skupu, kiedy to zmusiła opornego kułaka do poszanowania prawa ludowego i wykonania obowiązków wobec państwa, przy nadużyciach ze strony aparatu gospodarczego, kiedy piętnuje spekulantów i biurokratów. Trzeba by teraz walczyć o powołanie do życia zbiorowej opinii naszego czytelnika o książce. Jest to sprawa ważna choćby dlatego, że pisarzowi i krytykowi literackiemu, wciąż jeszcze daleko do masowego odbiorcy książek. A wiemy, jak na przykład, wpływ czytelników radzieckich na rodzimą literaturę bywa doniosły i skuteczny. Pisarze radzieccy w oparciu o krytykę i rady masowego czytelnika, przerabiają często już napisane i piszą nowe utwory.

Stoi więc przed naszymi korespondentami trudne, odpowiedzialne i ambitne zadanie — chwytać i opisywać przemiany, jakie zachodzą w świadomości i działaniu chłopskiego czytelnika pod wpływem książki.

Wiesław Jażdżyński

WOJCIECH DRYGAS

KORESPONDENCI O FILMACH

KORESPONDENT — czuły barometr terenu — odnotowywał w swym notatniku przemierzającą szeroko przez wieś ofensywę kulturalną. Początkowo była to nowozorganizowana świetlica, w jakiś czas potem powitał z radością otwarcie stałej biblioteki gromadzkiej, ostatnio widzieliśmy go, jak rozwieszał wśród chałup chłopskich kabel miejscowego radiowęzła; dzisiaj obwieszcza: „Przyjechało do nas kino na kółkach!"

Zdarzenie oddziałało zbyt silnie, aby po wykrzykniku odłożyć pióro, zgasić lampę i położyć się spać. Korespondent przelewa na papier długi rejestr nieposegregowanych jesz-

Rys. H. Jarosz

cze i nieprzemyślanych szczegółów, w którym nie brak „mechanika kinowego ze socjalistycznym stosunkiem do pracy", „tłumów, co się nawet przy pomocy ochotniczej straży pożarnej nie mogły pomieścić w niewielkiej sali świetlicowej", „nerwowego podniecenia, gdzieś kole dolka", a także „lamentu straszliwego Kubioczki, która nie mogła patrzeć ze spokojem, jak te krwiopijce-amerykańce mordują dzieci na Korei" i wreszcie pochwały Filmu Polskiego z małą dedykacją, „aby przyjeżdżał jak najczęściej, bo my będziemy go każdej niedzieli wypatrywać na drodze".

Oto — traktując rzecz z grubsza — klasyczna korespondencja z terenu po pierwszej udanej wizycie kina objazdowego w gromadzie. Czyta się ją ze zrozumiałym wzruszeniem. Lecz nie jest to jeszcze list — jakiego oczekujemy. Poza wszechstronną i ze wszech miar budującą charakterystyką osoby mechanika, tłokiem w sali i „nerwami kole dolka" — interesuje nas coś więcej W głębokim przeświadczeniu, że korespondent po „oswojeniu się" z techniką i organizacją spektaklu — olśni nas nową, niespotykaną dotąd problematyką — oczekujemy następnych listów

Owszem, napływają — setki listów, lecz pomijana w nich pozostaje całkowicie dziedzina wychowawcza filmu.

Cóż w takim razie zaprząta uwagę korespondenta? Ano, przypatrzmy się temu bliżej.

W Żabikowie pow. śremskiego GRN nie postarała się na czas o dostateczną ilość krzeseł i ławek w świetlicy, co było powodem szeregu lokalnych zaburzeń, ponieważ „ludzie mdleli w tłoku jak muchy, a pewien 80-letni staruszek, który usadowił się w tyle (od tyłu lepiej ponoć widać!) tak nieborak wyciągał swą szyję, aż mu coś w karku trzasnęło, że trzeba było przyhamować film, zapalić światła i przy pomocy przewodniczącego GRN i dwóch sołtysów wduszać mu tę szyję z powrotem w dół, do samych kiszek".

Ostatecznie staruszka odratowano. Fakt ten tak bardzo zaabsorbował korespondenta, że nie dowiedzieliśmy się, co było treścią filmu i przedmiotem ożywionej ponoć dyskusji, w której przeszkadzali „straszliwie" wyżej wymienieni dwaj sołtysi, przepychający się „po głowach ludzi z powrotem pod ekran, gdzie było przecież miejsce dla dzieciaków".

W innej gromadzie Pliszki pow. nowogardskiego „pracownik kina na kółkach sprzedawał bilety po uważaniu, a wybierał jucha, co ładniejsze dziewczęta, zaś nas, chłopów usadził z najgorszymi biletami na końcu sali za słupem, a przecież ten słup nie jest ze szkła, toteż małośmy widzieli, za to dużo nagniewali się. Wnoszę żądanie — kończy nasz korespondent — aby na bileterów wybierać żonatych, bo tym kawalerom we łbie się przewróciło do cna".

I na tym urywa się owa żałosna korespondencja, opatrzona mimo wszystko, maleńką adnotacją, że film był w samej rzeczy bardzo interesujący, a w dyskusji zabierało głos pięciu chłopów, dwie kobiety i troje dzieci z podstawowej

Nie załamujmy jednak rąk! Sięgnijmy po korespondencje z gromad, w których wszystko działo się po myśli korespondenta — gdzie znalazły się na czas krzesła i ławki, bileter był przypadkowo człekiem żonatym, a więc do pewnego stopnia zrównoważonym, a od mechanika kinowego nie „jechało wódzią". Jeśli żaden z tych momentów nie wchodził w grę, korespondent jak dobry inspektor z PZGS-u stwierdza z pewnym rozczarowaniem: „...a więcej nie mam co pisać, bo czynniki od tego kina idą na razie po swym torze, jak należy, lecz gdy, coś spostrzegę niewłaściwego — zaraz dam znać!" I na tym koniec! Wykrzyknik z zakrętasem i znów o filmie ani słowa!

A korespondent z Grawdzinowa pow. nowosądeckiego, dopowiada czerwonym atramentem:

„Będę uczęszczał pilnie na każdy film, aby w razie czego demaskować złą pracę tych od kina. Chwilowo nie ma co demaskować..."

Tą czujnością korespondent z Grawdzinowa zdemaskował sam siebie, bo cóż to znaczy przejść do porządku nad wspaniałym filmem o Miczurinie? Czyż można było pominąć milczeniem wszechstronną dyskusję, jako rozwinęła się bezpośrednio po wyświetleniu filmu, dyskusję, świadczącą o żywym zainteresowaniu chłopów, którzy założyli kółko miczurinowskie, pod wpływem, jak żywego na ekranie Miczurina? Czyż fakty te nie przemawiają w żaden sposób do naszego korespondenta?

Powiedzmy sobie szczerze — po naszej stronie leży część winy. Korespondent wiejski, zajmujący się organizacją kultury, powinien być pod stałą opieką pisma czy gazety, powinien być stale instruowany. Musi on mieć jasno wytknięte kryteria swej działalności, zwłaszcza, gdy chodzi o film. Kiedy korespondent zacznie zdawać sobie sprawę, jakim celom służy oglądany przezeń film, w jakim stopniu przyspiesza on narastanie nowych, socjalistycznych form życia w jego rodzinnej wiosce, kiedy zacznie sam analizować olbrzymią funkcję filmu w walce o pokój i umacnianie obozu pokoju, w walce o przyspieszanie i ułatwianie realizacji naszych planów gospodarczych, w krzewieniu oświaty i kultury wśród najszerszych mas — wtedy będziemy mogli z dumą powiedzieć, że organizacja kultury na wsi spoczywa w dobrych rękach.

Korespondent nie da się wówczas zwieść pozorem „nabitej sali", ani sprowadzić na manowce brakiem kilkunastu krzeseł i nie wpadnie w szablon korespondencji z serii t. zw. trosk organizacyjnych.

Wojciech Drygas

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12 tel 7 52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch", Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel 804-20 do 25
Tel Red Nacz 727-86 Tel Redakcji 751 80 dod wewnętrzny 91, 53
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł, kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł; rocznie 36,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa 1-6942 110 z zaznaczeniem „za tyg „Wieś".
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B 10988